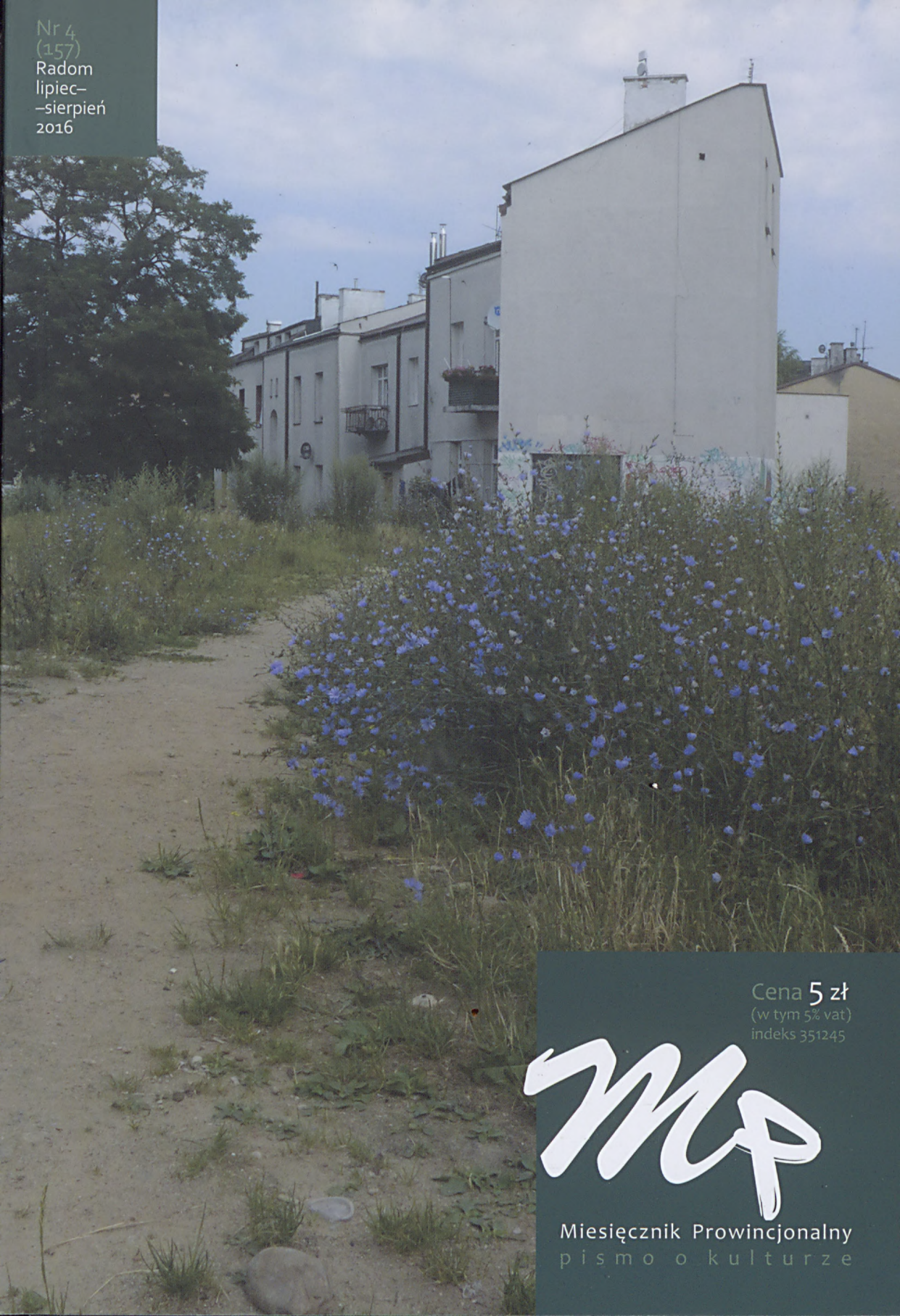


Nr 4  
(157)  
Radom  
lipiec-  
sierpień  
2016



Cena 5 zł  
(w tym 5% vat)  
indeks 351245

**MCP**

Miesięcznik Prowincjonalny  
pismo o kulturze





**Na okładce:**  
dom Bernarda Gotfryda przy ul. Wąskiej w Radomiu  
fot. Stanisław Zbigniew Kamieński  
30.06.2016 r.

Radomskie pismo o kulturze  
Nr 4 (157)  
Radom, lipiec–sierpień 2016  
cena 5 zł ISSN 1506–5391

Temat numeru:  
Wdzięczność

Redaguje zespół w składzie:



Anna Skubisz-Szymanowska  
– redaktor naczelna



Agata Morgan  
– sekretarz redakcji



Halina Bogusz  
– korekta



Mariusz A. Dański  
– dyrektor artystyczny



S. Zbigniew Kamieński



Jerzy Kutkowski



Krzysztof Majerczyk



Ilona Michalska-Masiarz



Michał Płoski



Grzegorz Sasin



Anna Spólna



Mieczysław Szewczuk



Robert Utkowski

**Wydawca:**  
Miejska Biblioteka Publiczna  
w Radomiu  
Adres redakcji:  
ul. J. Piłsudskiego 12  
26-600 Radom  
tel.: 48 362 67 35  
fax: 48 363 38 18  
e-mail: miesiecznik.radom@op.pl  
<http://facebook.com/miesiecznikprowincjonalny>

Materiałów niezamówionych redakcja  
nie zwraca i zastrzega sobie prawo  
ich skracania i redagowania.  
Jednocześnie zapewniamy  
integralność treści i formy  
utworów literackich.

**Prenumeratę  
można zamówić  
listownie lub osobiście  
(Miejska Biblioteka Publiczna  
ul. Piłsudskiego 12, 26-600 Radom),  
jak również telefonicznie  
(48 362 87 88)  
i e-mailem ([prom.mbpradom@op.pl](mailto:prom.mbpradom@op.pl))  
nr konta: Bank PEKAO S.A.  
70 1240 5703 1111 0000 4905 8590**

## OD REDAKTORA

*Wdzięczność – pojęcie z kategorii uczuć i emocji. W każdym z nas powinna obudzić się jako odpowiedź na doświadczone dobro, jako moralne zobowiązanie i chęć odwzajemnienia, podziękowania, czasem przekazania dobra dalej, kolejnym osobom. Taki łańcuszek wszystkiego dobrego.*

*Wydawałoby się, że to bardzo proste, z definicji. A jednak w codziennej praktyce trudne. Nawet kiedy szczerze pragniemy się odwdziżyć, mamy kłopot, stajemy wobec tego pragnienia bezradni. Jak, w jaki sposób? Czy wystarczy „dziękuję”? Czy może dłuższa wypowiedź opisująca pozytywny stan naszych emocji i obietnica rewanżu na przyszłość, kiedy będzie potrzeba, gdybyśmy mogli kiedykolwiek...? Nad tak trywialnym wyrazem wdzięczności jak ozdoba torebka, na ogół dyskretnie skrywana w reklamówce z zieloną żabką lub czerwoną biedronką, w ogóle nie będziemy się tutaj zastanawiać.*

*Pozostaniemy w sferze uczucia wyższego. Zdarza się, że nie możemy znaleźć właściwego sposobu na jego wyrażenie także z tego powodu, że nie znamy oczekiwań i boimy się reakcji drugiej strony. A ta druga strona też bywa w rozterce. Bo albo okazywana wdzięczność zbyt wylewna, albo zbyt powściągliwa, albo zbyt uduchowiona, albo zbyt zmaterializowana. Albo za mało szczerza, udawana. Jej przyjmowanie to też wielka sztuka. Często nawet w przypadkowych rozmowach słyszymy: „Ja nie oczekuję żadnego rewanżu..., ale żeby tak...”.*

*Zdarza się, i to wcale nierzadko, że świadomość zawdzięczenia komuś czegoś staje się nieznośnie krępująca, wstydliva. Z pomocy korzysta się na ogół wtedy, gdy nie jesteśmy w stanie poradzić sobie sami, a przyznanie się do słabości nie jest ani łatwe, ani miłe. Doświadczanie dobra wzbudza więc w obdarowanym upokorzenie, a nawet złość. Nie darmo mówi się, że najwięcej wrogów mamy wśród dłużników.*

*Myślę, że podobny problem jest z tak zwaną wdzięcznością pokoleń. Z obowiązkiem zachowania w dobrej pamięci tych, którzy byli przed nami i z dorobku których korzystamy, na ich błędach się uczymy (o ile to możliwe). Jak okazać, że doceniamy to, co zrobili, że dziękujemy za ich pot, a często krew i łzy? Jak upamiętnić ich dokonania, powiedzieć, że bez nich my nie bylibyśmy tacy sami, żeby nie popaść w banal z jednej, a patos z drugiej strony?*

*Wdzięczność – jak to łatwo powiedzieć...*

**Anna Skubisz-Szymanowska**

Zespół „Miesięcznika Prowincjonalnego”  
dziękuje Panu Czesławowi Krukowi  
za współfinansowanie wydawnictwa w 2016 roku

Wydawnictwo sfinansowano ze środków Gminy Miasta Radomia



## SPIS TREŚCI

- 1 | *Od redaktora*  
Anna Skubisz-Szymanowska
- SYLWETKA 3 | *Portret darczyńcy – Czesław Kruk*  
Anna Skubisz-Szymanowska
- ESEJ 8 | *Drabina (część XX)*  
Michał Płoski
- RECENZJA 10 | *Ciało po nadzorem narracji*  
Łukasz Prus
- 14 | *Na wypadek potopu...*  
Anna Spólna
- WYDARZENIA 16 | *Nominowani do Nagrody Gombrowicza*  
Jacek Koniecpolski
- PLASTYKA 18 | *Tony Cragg w Orońsku*  
Lidia Ziemińska
- GALERIA PROWINCJONALNA 21 | *Justyna Kiełbasa*  
Stanisław Zbigniew Kamieński
- FELIETON 29 | *(nie)wdzięczność przedmiotów martwych*  
Robert Utkowski
- ROZMOWA 31 | *Edytor – literacki detektyw...*  
Ilona Michalska-Masiarz
- SZKIC 35 | *Ulica Wąska w Radomiu...*  
Stanisław Zbigniew Kamieński
- PROZA 42 | *Przyzwoity pogrzeb*  
Bernard Gotfryd
- KINO 48 | *I dobrze*  
Grzegorz Sasin
- 50 | *Wigor (Andrzej Żuławski 1940–2016)*  
Grzegorz Sasin
- TEATR 52 | *Teatr ogólnie jest piękny...*  
Krystyna Kasińska
- MUZYKA 56 | *Symfonicznie sFRUMENTowani*  
Krzysztof Majerczyk
- Z KART HISTORII 58 | *Radom złożony ze wspomnień*  
Barbara Łopyta
- 60 | *O przedwojennych posadzkach...*  
Marta Wiktoria Trojanowska
- KRONIKA 63 | *czerwiec 2016*

w Galerii Prowincjonalnej  
PRACE JUSTYNY KIEŁBASY





Wydawanie pieniędzy to nieprosta sprawa. Zawsze wiąże się z dokonywaniem wyboru. A dzielenie się własnymi pieniędzmi, na które ciężko pracowało się przez kawał życia, to rzecz jeszcze trudniejsza. Nic więc dziwnego, że na ogół darczyńcy, sponsorzy, donatorzy, mecenasi zastanawiają się nie tylko nad celem, na jaki je przeznaczą, ale również nad korzyściami osobistymi, wynikającymi z faktu wspierania. Znacznie łatwiej jest zaangażować się finansowo w przedsięwzięcia spektakularne, obliczone na masowych odbiorców i szybki efekt niż w działania długofalowe, niedające natychmiastowego rozgłosu, a być może nieprzynoszące go wcale.

Bardziej atrakcyjne jest sponsorowanie wielkiego widowiska muzycznego czy sportowego niż skromnej, cichej, codziennej, chociaż tak samo ważnej działalności bibliotecznej.

Nam, czyli bibliotece w Radomiu, jednak się udało. Już prawie 10 lat mija od chwili, gdy w drzwiach instytucji stanął wąsаты pan średniego wzrostu i poprawną polszczyzną z mocno angielskim akcentem oświadczył, że otóż właśnie chce finansowo wspierać naszą działalność. Na początek przeznaczy pewną sumę na książki do biblioteki.

Zdziwienia, które nas ogarnęło, nie da się nazwać lekkim. Ale współpraca została zapoczątkowana. Z każdym rokiem malało zaskoczenie i dystans, a rosła wzajemna sympatia, rodziła się zażyłość i przyjaźń. Dowiedzieliśmy się, że Czesław Kruk urodził się w Radomiu, ukończył radomska budowlankę, potem warszawską AWF, potem wyjechał z Polski, pojeździł nieco po świecie, aby ostatecznie osiąść w Edynburgu, gdzie mieszka do dziś.

Jest człowiekiem wielu pasji. Jeszcze w Polsce z sukcesami biegał w maratonach. Sport aktywnie uprawiał także po wyjeździe z kraju. Jego wielką fascynacją stał się golf. W Szkocji należy do klubu golfowego, wyjeżdża do wielu krajów, aby uczestniczyć w turniejach,



fot. archiwum Czesława Kruka

Z Elżbietą Grajzer – Bibliotekarzem Roku MBP 2015, w filii nr 15 radomskiej biblioteki (czerwiec 2015)

zdobywa kolejne puchary. Sport ten propaguje również w Polsce, szczególnie wśród ludzi młodych.

Czesławowi Krukowi nieobce są zainteresowania artystyczne. Interesuje się malarstwem i rzeźbą, podejmował nawet pewne osobiste próby w tej dziedzinie, podobnie zresztą jak w literaturze, szczególnie w poezji.

Do Polski przyjeżdża dwa, trzy razy w roku. Zawsze wtedy jest w Radomiu i odwiedza bibliotekę, żartuje, że raczej bibliotekarki. Jest zainteresowany kondycją instytucji, podejmowanymi działaniami, nowymi zadaniami-



fot. archiwum Czesława Kruka

Z koleżankami i kolegami z dawnej klasy na schodach biblioteki, po corocznym spotkaniu w kawiarence „Exlibris” (październik 2011)



fot. Stanisław Zbójniw Kamiński

Z Mariolą Turek – Bibliotekarzem Roku MBP 2016, podczas uroczystości wręczenia nagrody w radomskiej bibliotece (maj 2016)





fot. archiwum Czesława Kruka

Przyniosłaś wspomnienia znad Radomki  
I gorący uśmiech jak tamte dziecinne lata  
Przyniosłaś radość, której tak bardzo szukałem  
Gdzieś głęboko w mojej duszy.  
I nagle jak bańka mydlana zniknęłaś  
Zostawiając wrażenie zasuszonych kwiatów  
z polany pod lasem nam znanym.  
Teraz już po wspomnieniach  
Chodzą krótkie wrażenia i opowieści  
Gdy się spotykamy wśród półek książkowych  
Tamte wesołe zabawy na łąkach  
Pokrytych przeróżnymi barwami kwiatków  
I twoje delikatne i czule usta.  
Zabrałem to wszystko tak daleko  
Bezmyślnie poukładałem pomiędzy kartkami nieprzeczytanych książek.  
Teraz w jakiejś nadziei  
Myśłami moimi ciągle wracam do ciebie  
i nie rozumiem sensu tej mojej pracy.  
Odeszłaś nagle jak moje wspomnienia teraz.  
Wszystko się urwało bo poczułem  
ciepły smak czekolady w radomskiej kawiarence.

Czesław Kruk (10.06.16)

Wiersz jest reminiscencją ostatniej wizyty Czesława Kruka w Radomiu.



fot. Stanisław Zbigniew Kamiński

W bibliotece, z Medalem Herbowym  
Miasta Radomia (maj 2016)

mi, stanem lokali bibliotecznych, wyposażenia. W radomskiej bibliotece, w kawiarni Exlibris corocznie organizuje spotkanie kolegów i koleżanek ze swojej klasy z Technikum Budowlanego.

Przez lata naszej przyjaźni wsparł działalność radomskiej biblioteki kwotą około 100 tys. zł, którą przeznaczył na imprezy czytelnicze dla dzieci, rozwój Radomskiej Biblioteki Cyfrowej, uzupełnianie zbiorów bibliotecznych i, za co jesteśmy szczególnie wdzięczni, systematycznie dotuje wydawanie „Miesięcznika Prowincjonalnego”. Bez tej życzliwości byłoby nam znacznie trudniej. Oprócz tego że wspiera nas finansowo jest wielkim propagatorem pisma wśród Polonii wywodzącej się z Radomia. Dzięki niemu zyskaliśmy prenumeratorów i czytelników w wielu krajach Europy oraz za oceanem. Jest pomysło-



fot. Stanisław Zbigniew Kamiński

Na Dniu Bibliotekarza i Biblioteki 2016, w radomskiej MBP, od lewej: Sebastian Równy – dyrektor Wydziału Kultury UM w Radomiu, Karol Semik – Wiceprezydent Miasta Radomia, Czesław Kruk, Marek Oleszczuk – naczelnik Wydziału Promocji Starostwa Radomskiego (maj 2016)

dawcą i fundatorem nagrody dla Bibliotekarza Roku MBP w Radomiu, wręczonej w bieżącym roku po raz ósmy. Oprócz pieniędzy otrzymaliśmy od Pana Czesława zabawki wykorzystywane podczas zajęć z dziećmi, słodycze, czasopisma i książki do naszych zbiorów. Dzięki niemu w bibliotece odbyło się spotkanie z aktorką Ewą Krasnodębską oraz szkocką pisarką Jenny Robertson.

W maju tego roku prezydent Radomia, w uznaniu zasług dla miasta, uhonorował Czesława Kruka Medalem Herbowym. Z wnioskiem o odznaczenie wystąpiła biblioteka.

**Anna Skubisz-Szymanowska**



## Z notatnika malarza ikon Drabina (część XX)

Michał Płoski



foto. Stanisław Zbigniew Kamiński

Kiedy lew śpi w jaskini, czuwają jego oczy, są bowiem otwarte<sup>1</sup> – czytamy w greckim fizjologusie. We wczesnych wiekach chrześcijaństwa uważano, że lwy są tak czujne, że nie zamykają oczu nawet podczas snu. Wiązano obraz tego zwierzęcia z Jezusem. Do Chrystusa odnoszono słowa psalmu: „Oto nie zdrzemnie się ani nie zaśnie Ten, który czuwa nad Izraelem” (Ps 121, 4), a także tekst wyroczni Balaama: „Położył się, jak lew się przyciśnił lub niby lwica” (Lb 24, 9). W prawosławiu znana jest ikona zwana „Czuwające oko”, po grecku „Anapeson”, w tradycji ruskiej „Niedriemannoje oko”. Najstarsze znane przedstawienia tego typu pochodzą z XIII w. Na ikonie widzimy Chrystusa jako młodzieńca spoczywającego na posłaniu, jakby śpiącego, lecz oczy ma otwarte. Stoją obok Niego Matka Boża i Archanioł, trzymający krzyż i narzędzia męki. Na XVII-wiecznej ikonie z Ochrydy przedstawiono również dwa wielkie lwy. Sen, zamknięte oczy, ozna-

czają śmierć, zaś oczy otwarte – życie, zmartwychwstanie. Tak więc w ikonie „Anapeson” wpisana jest niejako tajemnica Paschy, zwycięstwa życia nad śmiercią.

Czowanie, nieustanna uważność i troska Boga wymaga stosownej odpowiedzi człowieka. Jak możemy wnosić z apoftegmatów, ojcowie pustyni przywiązywali wielką wagę do zachowania czujności wewnętrznej. Abba Jan rozumiał przez czujność siedzenie w celi z bezustanną pamięcią o Bogu. Chodzi tu więc o unikanie zbędnych wrażeń, fantazjowania, rozproszeń, zachowanie uważności, o trwanie w chwili obecnej z Bogiem. To stanowi podstawę życia duchowego – „Niczego nam nie potrzeba – mówił abba Pojmen – tylko czujnego rozsądku”<sup>2</sup>. Zaś abba Agaton powiedział: „Człowiek jest jak drzewo: asceza fizyczna to liście, a czujność wewnętrzna to owoc”<sup>3</sup>. Jednym z elementów owej ascezy, obok postów, było czowanie nocne. Zapewne umiar w jedze-

niu i stałe ćwiczenie się w uważności umożliwiły skracanie snu. Obecnie powszechnym problemem jest bezsenność i, co za tym idzie, poczucie zmęczenia. Dzisiejsi ludzie, w odróżnieniu od mnichów, nie próbują eliminować ze swego życia potoku myśli, wrażeń i rozmaitych bodźców; często wręcz przeciwnie – poszukują ich. Nic więc dziwnego, że w takim stanie nie mogą przywołać snu. Podobno abba Arseniusz mógł czuć, jeśli tego pragnął, a także zasypiać, kiedy tego chciał. Mawiał wtedy: „choć tu, marny sługo” i sen przychodził<sup>4</sup>.

Rozdział XX *Drabiny raj* nosi tytuł „O czuwaniu cielesnym, jak przez nie powstaje duchowe i jak powinno się je prowadzić”. W pierwszym zdaniu czytamy: „Niektórzy stoją bezbronni i odkryci wobec królów ziemskich, a niektórzy mocno trzymają drzewce włóczni, tarcze i miecze”<sup>5</sup>. Wydawałoby się, że obraz ten ma mobilizować do naśladowania czujności zbrojnych. Tymczasem odwrotnie – postawa czuwania wiąże się z poddaniem, z bezbronnością – „A wielka i nierównana jest wyższość tych pierwszych nad ostatnimi. Bo oni właśnie są zwykle krewnymi władcy i domownikami króla”. Akceptacja chwili obecnej, niesprzeciwianie się sytuacji, w której się znajdujemy, to podstawa uważności, czujności, czuwania. W wypadku mnicha oznaczało to przyjęcie codziennego rytmu modlitwy i pracy, akceptację miejsca, którego nie opuszczał i ludzi, z którymi przyszło mu żyć – wszystko w duchu zawierzenia Bogu, poddaniu się Jego woli. To pozwalało na trwanie w chwili obecnej, czynienie tego, co się czyni, unikając rozproszeń, podziału uwagi. Człowiek zanurzony w doczesnym potoku czasu z trudem zbliża się do bezczasowego Bożego Teraz. Oddziela nas odeń nie tylko grzech, ale również powracające w wyobrażeniach

wydarzenia przeszłości i przyszłości. Szczególnym ćwiczeniem jest modlitwa – „stanie przed Bogiem i królem”.

„Niektórzy – pisze Klimak – na wieczornym i całonocnym czuwaniu wyciągają ręce podczas modlitwy, niematerialni i pozbawieni trosk, a drudzy tak stoją wspierając się psalmodią; inni trwają raczej przy czytaniu, niektórzy zaś z powodu słabości, z pomocą pracy rąk walczą mężnie ze snem; inni oddają się myśleniu o śmierci, chcąc przez to otrzymać pobudzenie. Z tych wszystkich ci pierwsi i ostatni, kochający Boga, trwają wiernie na całonocnym czuwaniu; ci drudzy zaś robią to, co należy do mnichów; a ci trzeci idą pośledniejszą drogą; jednak Bóg przyjmie te dary i oceni je według myśli i zdolności”. Klimak wyróżnia tu mnichów, którzy osiągnęli stan bezsłownej kontemplacji Boga, i tych, którzy wspierają się pamięcią o śmierci. Obie te postawy najbardziej zbliżają się do odrzucenia ego, przywiązań i pragnień, społecznej pozycji – w pierwszym wypadku przez zjednoczenie z Bogiem, w drugim przez uświadomienie sobie przemijalności naszej doczesnej egzystencji.

W duchowości ojców pustyni i mnichów pierwszych wieków wielką wagę przywiązywano do badania pojawiających się myśli. Pozwalało to na pogłębione poznanie samego siebie i podjęcie drogi oczyszczenia. Wewnętrzna walka polegała nie tyle na odrzuceniu pojawiającego się na przykład gniewu czy pożądania, ale na zwróceniu się ku Bogu. Czowanie w nocnej ciszy sprzyjało rozpoznaniu tego, co jest zakryte w codziennym biegu zdarzeń. Klimak pisze: „Czuwający mnich jest rybakiem myśli, potrafiącym łatwo je poznać i schwytać w ciszy nocy”. Samo uświadomienie sobie nawiedzających nas myśli jest już drogą oczyszczenia, zdystansowania się od nich; o ile oczywiście nie damy się pociągnąć przez nie, pochłonąć w ten sposób, że identyfikujemy się z myślami jak gdyby one determi-

<sup>1</sup> Cytat za: ks. Marek Starowieyski, *Zapytaj zwierząt, pouczą czyli opowiadania wczesnochrześcijańskich pisarzy o zwierzętach*, Kraków 2014, Wydawnictwo WAM, s. 429.

<sup>2</sup> *Pierwsza Księga Starców. Gerontikon*, tłum. M. Borowska, Kraków 1992, Wyd. „m”, s. 220.

<sup>3</sup> Jak wyżej, s. 56.

<sup>4</sup> Jak wyżej, s. 46.

<sup>5</sup> Św. Jan Klimak, *Drabina raj*, tłum. W. Polanowski, Kęty 2011, wyd. M. Derewiecki, s. 224 – następne cytaty z tego samego źródła.



nowały nasze istnienie. Klimak mówił krótko: „Czuwające oko oczyszcza umysł”.

Dalsze uwagi zawarte w rozdziale dotyczą klasztornej dyscypliny, „liści” – jak określał abba Agaton fizyczną ascezę. Myślę, że dla ludzi żyjących dzisiaj istotna jest droga odnalezienia wewnętrznego pokoju przez zachowanie uważności, przez życie obecną chwilą. W Kazaniu na Górze Pan Jezus zaleca, aby nie troszczyć się o dzień jutrzejszy i zauważać kwiaty polne, ich piękno, a także ptaki, o które dba Ojciec niebieski (por. Mt 6, 25–34). Życie we współczesnej cywilizacji może wieść ku pewnej nieświadomości, ślizganiu się po powierzchni życia – nim poczujemy smak obecnej chwili, biegniemy ku nowym doznaniom.

## Ciało pod nadzorem wielkich narracji

Łukasz Prus

Ciało – to zagadnienie, które mniej więcej w połowie XX w. stało się jednym z głównych przedmiotów rozważań filozoficznych. Wcześniej jednak rzecz wyglądała inaczej. Cieleśność, przez wieki pomijana i marginalizowana, została wykluczona z myślenia (nie tylko z myślenia filozoficznego) i wtłoczona w okowy wielkich narracji metafizycznych i antropologicznych. Praca Moniki Rogowskiej-Stangret *Ciało – poza Innością i Tożsamością*, wydana przez Fundację Terytoria Książki jako kolejna w serii Przygody Ciała, jest próbą przywrócenia cielesności – a także szerokiej i skomplikowanej problematyce z nią związanej – miejsca w świadomości polskiego czytelnika. Jest to próba ambitna, imponująca nie tylko obszernością analizowanego przez Rogowską-Stangret materiału – kto podejmuje taki temat, nie może postąpić inaczej – ale też autorską odwagą. *Ciało – poza Innością i Tożsamością* jest pracą, która nie ogranicza się do zreferowania dominujących w filozofii narracji o ciele (sprowadzających się do ujmowania go właśnie w kategoriach inności i tożsamości), ale stanowi próbę wyjścia poza nie. Stąd też podtytuł książki, który brzmi „Trzy figury ciała w filozofii współczesnej”.

W tradycji chrześcijan i Żydów jest jedna noc szczególna, noc czuwania i czujności – noc Paschy. W tradycji prawosławia i po Soborze Watykańskim II w katolicyzmie w tę noc sprawowane jest najważniejsze nabożeństwo w roku – liturgia zmartwychwstania Pańskiego. Niestety, ciągle część katolików nie uświadamia sobie znaczenia liturgii wigilii paschalnej.

Po zapadnięciu zmroku od płonącego ogniska kapłan zapala Paschał i kreśląc nim znak krzyża, litery i cyfry, wypowiada słowa: Chrystus wczoraj i dziś. Początek i koniec. Alfa i Omega. Do Niego należy czas i wieczność...

Michał Płoski

Zanim przejdę do omówienia właściwej treści książki, muszę zwrócić uwagę Czytelnika na pewne istotne zagadnienie. Zabierając się do lektury tekstu Rogowskiej-Stangret, warto jasno zdać sobie sprawę nie tylko z ogólnego kierunku, w którym zmierza myśl autorki (jej feminizm jest bezdyskusyjny), ale także z przyjętej przez nią orientacji epistemologicznej. We wstępie do swojej pracy pisze Rogowska-Stangret: „Nasze naukowe kategoryzacje nie mogą być traktowane obiektywnie, byłoby naiwnością sądzić, że powszechność oceniania nie przenosi się z dziedziny życia codzien-

ności jest pracą, która nie ogranicza się do zreferowania dominujących w filozofii narracji o ciele (sprowadzających się do ujmowania go właśnie w kategoriach inności i tożsamości), ale stanowi próbę wyjścia poza nie. Stąd też podtytuł książki, który brzmi „Trzy figury ciała w filozofii współczesnej”.

nego na inne aktywności podejmowane przez człowieka, a zatem również filozoficzne dociekania niewolne od wartościowania trafiają na podatny grunt powszechnego oceniania”. Deklarację tę pozostawiam bez komentarza, we współczesnych tekstach filozoficznych można znaleźć jej wyczerpujące uzasadnienie. Dodam tylko, że nie bez powodu Rogowskiej-Stangret myślenie o ciele jest myśleniem w nieustannym napięciu pomiędzy literaturą i filozofią, tak charakterystycznym dla filozofów postmoderny. Nie chodzi przy tym tylko o metodologiczną interdyscyplinarność pracy autorki; są bowiem takie zagadnienia, takie problemy – przez wieki marginalizowane w europejskiej kulturze, a mniej więcej od połowy XX w. intensywnie eksplorowane – do których inaczej podejść nie sposób, w innym przypadku próba taka musiałaby spełznąć na niczym albo zakończyć się prostą artikulacją kilku znanych już wszystkim banałów. Do konkluzji egzystencjalnych – a konkluzje dotyczące ciała właśnie taki mają charakter – jeszcze nikt nigdy nie doszedł, nie rozszadając po drodze schematu klasycznej racjonalności.

Gilles Deleuze, na którego autorka często się powołuje, wielokrotnie wyrażał awersję do kategorycznego rozróżniania dyscyplin twórczych, takich jak filozofia, malarstwo, muzyka czy literatura. Deleuze – powołując się z kolei na Marcela Prousta – twierdzi, że literatura jest tworzeniem obcego języka w ramach przyjętego języka, jest stawaniem-się-innym języka, a tym samym ucieczką od dominacji powszechnie przyjętej narracji (np. w eseju „Literature and life” opublikowanym w zbiorze *Essays Critical and Clinical*). Filozofia zaś może wydawać się podobną próbą. Stąd też doskonale skomponowane w książce Rogowskiej-Stangret napięcie pomiędzy filozo-

fią i literaturą właśnie. „[...] literatura nie pełni tu funkcji li tylko egzemplifikującej [...] jej rola nie ogranicza się do bycia przykładem dla jakiegoś pojęcia. Filozofię i literaturę zdają się łączyć związki znacznie ściślejsze: obie używają języka do wypowiedzenia czegoś, co w przeciwnym razie nie mogłoby dojść do głosu, co pozostawałoby przemilczane czy wykluczone”, pisze autorka. Stąd wiele miejsca w książce *Ciało – poza Innością i Tożsamością* zajmują przeprowadzone w duchu dekonstrukcji analizy dzieł literackich, takich jak *Pianistka* Elfriede Jelinek, *Wilgotne miejsca* Charlotte Roche, *Obcy* Alberta Camusa, *Pustynia* Jeana-Marie Gustave Le Clézio, dzięki czemu uzyskuje Rogowska-Stangret efekt kompozycji otwartej, migotliwej, którą Gilles Deleuze i Felix Guattari w toku swojej nowatorskiej schizoanalizy (*Capitalisme et schizophrénie*) przyrównują do asamblażu.

Ciało we współczesnej filozofii – oraz w twórczości artystycznej nawiązującej do problemów filozoficznych związanych z cielesnością – pojawia się w rozważaniach ontologicznych, epistemologicznych, etycznych, a także w teoriach politycznych i społecznych. Od połowy XX w. pytanie o cielesność jest ponadto jednym z głównych obszarów refleksji, a wręcz obszarem wyróżnionym. Moment spektakularnej transgresji stanowiła publikacja książki Michela Foucaulta *Historia seksualności*. Odtąd pytanie o ciało wyprzedza pytanie o człowieka, podmiot, wspólnotę, formy etyki czy polityki. Podkreśla ten aspekt podjętego zagadnienia Rogowska-Stangret: „Jak się okazuje, to, w jaki sposób myślimy o ciele, wpływa na to, jak myślimy o tożsamości, inności, podmiotowości, wspólnotcie, etyce czy polityce, a to przecież zagadnienia kluczowe dla zrozumienia współczesnej humanistyki i świata”.





Autorka książki jest świadoma podstawowe- go problemu związanego z myśleniem o cie- le – otóż refleksja na ten właśnie temat nigdy nie jest – i nigdy nie była – refleksją czystą. Myślenie o ciele jest bowiem od zawsze my- śleniem uwikłanym, przede wszystkim w rady- kalne opozycje, które nie służą tylko dokonaniu teoretycznej dystynkcji, ale jednocześnie hierarchizują i wartościują człony opozycyjne. Aksjologiczna nieobojętność myślenia o ciele została wpisana już w pierwszy wielki projekt metafizyczny, czyli projekt Platoński, który na ponad dwa tysiące lat zdeterminował kształt refleksji o ciele, lokując je w pozycji podrzęd- ności wobec „umysłu”, „rozumu”, „duszy” itd. „[...] jak długo będziemy mieli ciało i dusza na- sza będzie złączona z takim wielkim złem, ni- gdy w świecie nie potrafimy zdobyć i posiadać w pełni tego, czego pragniemy. A powiadamy, że tym jest prawda. Bo tysiączne nam kłopoty sprawia ciało [...] jeśli kto z nas pragnie kiedy poznać coś w sposób czysty, musi się od ciała wyzwolić i samą tylko duszą oglądać rzeczywi- stość samą” – te zdania, które Platon w *Fedonie* wkłada w usta Sokratesa, właściwie już na początku rozwoju filozofii przesądziły sprawę. Ciało jest dla Platona „wielkim złem”, od któ- rego trzeba się „wyzwolić” – to przykład języka wykluczenia, któremu ulegali późniejszy myśli- ciele, na których przemożny wpływ miała też chrześcijańska narracja o ciele. Od ciała próbo- wał się „wyzwolić” np. ojciec założyciel nowo- żytnego racjonalizmu. Ciało nie myśli, więc nie jest, a jeżeli jednak jakoś jest, to trzeba myśleć tak, jakby go mimo wszystko nie było, inaczej prawdy nie poznamy – mniej więcej taka kon- kluzja wynika z *Medytacji o pierwszej filozofii* oraz z *Rozprawy o metodzie* Kartezjusza. Z kolei już w XX w. (1931 r.) Edmund Husserl opubliko- wał *Medytacje kartezjańskie*, w których rady- kalizował nowożytny dualizm (zawsze hierar- chizujący i marginalizujący) duszy („rozumu”) i ciała, próbując egzorcyzmować je z dyskursu wysokiej filozofii, za najwyższą formę pozna-

nia uznając wgląd ejdetyczny, w którym ciało, oczywiście, nie ma najmniejszego nawet udziału. W tej perspektywie – „anorektycznej”, jak pisze Rogowska-Stangret – ciało jest rozumia- ne właśnie na planie figury inności.

A teraz czas na dygresję. Powyżej pisałem – nieustannie za Rogowską-Stangret – o hierar- chicznym, czyli aksjologicznie nieobojętnym i tym samym deprecjonującym jeden z czło- nów, charakterze fundamentalnych opozycji występujących w europejskiej filozofii od cza- sów Platona. Wątek ten w wieku XX był szcze- gólnie eksponowany przez myślicieli francu- skich, w Polsce wciąż kojarzonych z lewicą. Tymczasem o ukrytych założeniach aksjolo- gicznych realizujących się poprzez utajoną hier- archizację wielokrotnie pisała polska profes- sor etyki, którą trudno określić jako lewicową – Maria Ossowska. Jej fundamentalna książka *Podstawy nauki o moralności* do dziś stanowi bardzo ważny punkt odniesienia dla polskich etyków. W innej swojej pracy *Normy moralne. Próba systematyzacji* pisała Ossowska: „Acz- kolwiek nauka wypiera się oceni i usiłuje się od nich uwolnić, wślizgują się one różnymi droga- mi do rozważań teoretycznych, kierują w roz- maity sposób procesami definiowania. Uczu- lenie na ich obecność jest raczej świeżej daty i coraz to ktoś wynajduje jakieś założenia ak- sjologiczne, milcząco akceptowane, w takich na przykład dziedzinach, jak demografia, eko- nomia, założenia niezauważane, tak jak się nie zauważa tego, że nasz kodeks cywilny zakłada wyższość monogamii nad innymi formami ro- dziny”. Co więcej, od końca XIX w. jest w eu- ropejskiej filozofii obecna tradycja uprawia- nia hermeneutyki podejrzeń; za trzech wiel- kich „mistrzów podejrzeń” uważa się Karola Marksa, Friedricha Nietzschego oraz Sigmun- da Freuda. Filozofia podejrzliwa czy też podej- rzewająca to taka, która operuje charaktery- styczną hermeneutyką, ukierunkowaną na demaskowanie ideologicznych, motywowanych pozateoretycznie założeń, artykułowanych na-

stępnie w tekstach filozoficznych jako twier- dzenia obiektywne i powszechnie obowiąz-ujące. W wieku XX spadkobiercami dziedzictwa „mistrzów podejrzeń” są nie tylko wysoka fi- lozofia francuska, ale także m.in. nurty femi- nistyczne, w które Rogowskiej-Stangret swo- ją książką o ciele się wpisuje.

Druga figura, w oparciu o którą filozofowie wypowiadają się o ciele, to tożsamość. „Ja”, które w perspektywie racjonalistycznej jest wypreparowane z ciała, w figurze drugiej do ciała powraca. „Ja, czyli ciało” – wydaje się, że tymi słowami można wyrazić konkluzję reflek- sji nad cielesnością np. Karola Marksa czy Frie- dricha Nietzschego, do której wprost nawiązu- je współczesna fenomenologia francuska, bę- dąca w dużej mierze fenomenologią cielesno- ści właśnie. Robi to przede wszystkim Maurice Merleau-Ponty, który pisze w *Fenomeno- logii percepcji*: „Być świadomością, a raczej być doświadczeniem, to komunikować się we- wnętrnie ze światem, z ciałem i z innymi, to być z nimi, a nie obok nich [...]. Świadomość jest byciem przy rzeczy za pośrednictwem ciała”. W kolejnych rozdziałach książki autorka skru- pulatnie referuje występujące w filozofii rozu- mienie ciała opisane na schemacie tożsamo- ści, jednocześnie szukając drogi wyjścia poza dwie katagoryczne narracje. Odwołując się do Jacquesa Derridy pojęć różnicy i różni, nawią- zując do głównych wątków filozofii Michela Foucaulta, Simone de Beauvoir, Judith Butler, w których twórczości do głosu dochodzi rezy- gnacja z prymatu świadomości i substancjal- nego, niezmiennego podmiotu, a także poszu- kiwanie kontaktu z tym, co przez wielkie nar- racje było wykluczane, a w których głównym przedmiotem zainteresowania stają się poza- podmiotowe procesy konstruujące podmioto- wość, odkrywa Rogowska-Stangret zaskaku- jącą dialektykę. W tej perspektywie bowiem cia- ło to tyle co zbitka strukturalnych procesów zachodzących na terytorium inności, chociaż-

by biowładzy, stanowiącej topos w myśli póź- nego Foucaulta.

I to właśnie jest figura trzecia, wytwarzana przez napięcie i permanentną relację zwrot- ną pomiędzy tym, co inne, a tym, co w pod- miocie uchodziło za tożsame; uchodziło – bo- wiem Rogowska-Stangret nawiązuje do Miche- la Foucaulta koncepcji „podmiotu nomadycz- nego”, podmiotowości, która z pozycji recep- tora wiedzy podlegającego władzy za pośred- nictwem rozkoszy uchodzi w cielesność. Ciało rozumiane jako punkt maksymalnego napię- cia pomiędzy innością i tożsamością jest dla autorki czymś, co trwa na styku wiedza–wła- dza–rozkosz. Z chaosu powstałaś, w chaos się obrócisz – oto los, który dalszemu myśleniu o cielesności wróży Rogowska-Stangret w swo- jej wymagającej książce, kończącej się heroicz- ną próbą ukazania możliwości myślenia o ciele poza radykalnymi dystynkcjami poprzez wpisa- nie tego myślenia w ramy feminizmu korporal- nego Elizabeth Grosz. Bo na przestrzeni całej książki pozostaje Rogowska-Stangret filozofką feministyczną, jej teoretyczna orientacja oscy- luje pomiędzy feminizmem egalitarnym, w któ- rym eksponuje się walkę o równość, i femini- zmem różnicy, w którym miejsce pierwszopla- nowe zajmuje rewindykacja autonomii. Osta- tecznie więc trzecia figura myślenia o ciele jest dla Rogowskiej-Stangret perspektywą, w któ- rej podmiot – w swojej integralności psychoso- matycznej – od pierwszego dnia na tym świe- cie poddawany jest brutalnej obróbce przez tryby maszyny społecznej, tryby wiedzy–wła- dzy, a cielesność jest progiem pomiędzy natu- rą i kulturą, pomiędzy amorficzną innością i substancjalną tożsamością – to permanentnie obracająca się wstęga Möbiusa. Figura trzecia pozostaje więc z konieczności formą otwartą.

Łukasz Prus



## Na wypadek potopu. O *Delcie Dietla* Marcina Świetlickiego

Anna Spólna

**W** *Delcie Dietla* Marcina Świetlickiego rygorystyczna kompozycja (podział na jedenaście pięciowerszowych cykli tematycznych) łączy się z dużą różnorodnością form, swobodą w wykorzystaniu brzmieniowych walorów języka, wędrówką po różnych rejestrach stylistycznych polszczyzny. Nie brakuje tu wątków dobrze znanych wielbicielom tej poezji – motywu wyobcowania, upiorności egzystencji, buntu przeciwko skomercjalizowaniu kultury, sprzeciwu wobec obowiązków, które narzuca bohaterowi przynależność do narodu, państwa, wyznania. Jednak dużo ciekawsze wydaje się odnajdywanie w zbiorze elementów nowych, intrygujących swą odmiennością.

Poprzedni tom Świetlickiego, *Jeden*, wprowadził do jego poezji ton nieznaną dotąd satysfakcji z bycia tu i teraz. Zgody na jakąś formę zadomowienia, jakąś dozę codziennego rytuału, jakiś rodzaj przynależności – na pozostawanie sobą, mimo wszystko. Nowa książka poetycka utrwala i poniekąd tłumaczy tamtą zmianę. Wydaje się zapisem świadomego, mozolnie wypracowanego kompromisu pomiędzy lękowym wycofaniem ze świata a radością z narzucania mu swojego porządku.

### „Prosty miłosny”

Otwartość, z jaką podmiot tych wierszy przynajmniej do zazdrości, potrzeby bliskości, miłosnego spełnienia, byłaby u dawnego Świetlickiego nie do pomyślenia. Żadnych popkulturowych masek, cytatów z Iggy'ego Popa, filmów o Batmanie czy książek Raymonda Chan-

dlera. Uderzająca jest bezpośredniość, wręcz bezkompromisowość miłosnych wyznań:

[...] choć na wszystkim postawiono krzyżyk,  
naznaczone jest wszystko, ja tego nie widzę,  
bo widzieć nie chcę, tylko ciebie widzę  
(*Przez ciebie*, s. 58)

Czy była tu kobieta? Zostawiła ślady.

[...] Pytam, bo bardzo lubię sobie to potwierdzać. Była, tak.  
(*Styczeń 2015*, s. 57)

Podmiot uświadamia sobie ryzyko, jakim jest zaufanie pokładane w kimś kochanym. Wie dobrze, że pisanie o nim jest rodzajem magicznego aktu odwołującego się do nieszczęścia, zwodzeniem losu: „by zakląć wszystko, by wszystko ułożyć / by umocnić, zatrzymać, by trwało, by się nie chciało skończyć”. Nie zapomina o „przepaści, pełnej / pogruchotaństwa” (*Wielka Sobota*, s. 87) – ten symbol upadku, prywatnej otchłani, zaczerpnięty z *Pod wulkanem* Malcolma Lowry'ego jest w *Delcie Dietla* rewersem nadziei.

### „Żywa pamięć”

Za najbardziej poruszający cykl tomu uważam pięć wierszy żałobnych poświęconych ojcu. Jest w nich i poczucie winy, i tęsknota za zmarłym, i dystans wobec religijnych obrzędów. Lapidarne czterowersowe strofy, bardzo



Marcin Świetlicki  
Delta Dietla

rzeczowe, pozornie czysto sprawozdawcze, kryją w sobie opowieść o domu, który trwa, zmieniony śmiercią. A w tle rozpoznawalna od razu wielka tradycja opłakiwania – *Treny* Kochanowskiego, *Dziady* Mickiewicza:

żadnych widm, żadnych strasznień  
pusto, te miejsca świecą  
łagodnie, mamy płkanie,  
dużo roboty  
(*5 marca*, s. 17)

Nieuchronność odejścia ojca zostaje złagodzona odwołaniem do śladów, które po sobie zostawił – zapasu narąbanego drewna, sylwetki zatrzymanej na zdjęciu Google Maps, świętej pamięci „jego bolesnej męki” (*6 marca*, s. 18).

### „Nie trać czujności”

Depresyjne nastroje, koszmarnie sny, małe i duże obsesje upominają się o swoje. Bo-

hater wie, że cokolwiek pokochał, może być mu odebrane. Kruchość i względność porządku, w który próbuje wpisać egzystencję, nie pozwala o sobie zapomnieć. Choć „labirynt z góry wyglądał na prosty” (*Matnia*, s. 39), jest „Coś, co/ w głowie szeleści. / Coś, co/ domaga się” (*Trzecia trzydzieści trzy*, s. 40).

Lęk, niewiedza i niepewność kłębią się pod powierzchnią małej stabilizacji, na przekór najprostszym zasadom wyuczonym przy własnym psie, mądrzejszym od pana o cierpliwość:

To nie czas na głupoty. Rytuał jest ważny.  
Prosty i ważny. Spacerować, jeść,  
spać. Ja tego uczę się przy suce.  
Biedni ci, którym nie wystarczy  
codzienne wstawanie z martwych.  
(*Czarna niedziela*, s. 71)

Podmiot nie zawsze umie poprzestać na praktykowaniu tego programu minimum. Stąd metafora podziemnego nurtu, wpisana także w tytuł książki. Dawne koryto Wisły biegło właśnie pod Plantami Dietlowskimi. Pod powierzchnią codziennych zdarzeń drzemią „odwieczne topielce” (*Nie stąd*, s. 7), odbywa się ostrożne sondowanie własnej odporności. Kiedy nadciąga potop, a „wody podnoszą się” (*Delta Dietla*, s. 83), trzeba być czujnym. W książce Świetlickiego odbywa się umacnianie wyspy – na wypadek potopu.

Anna Spólna

Marcin Świetlicki, *Delta Dietla. Wiersze 2013–2015*, Wydawnictwo EMG, Kraków 2015.



## Nominowani do Nagrody Gombrowicza

Jacek Koniecpolski

**M**aciej Hen, Agnieszka Kłos, Weronika Murek, Maciej Płaza i Tomasz Wiśniewski to autorzy nominowani do Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza. 4 września 2016 r. z ich grona wybrany zostanie laureat lub laureatka.

Do pierwszej edycji konkursu zgłoszono ponad 60 książek. Nagroda, której patronuje Rita Gombrowicz, przyznawana jest za debiut, rozumiany jako pierwsza albo druga książka autora napisana prozą artystyczną w języku polskim.

Jak czytamy w komunikacie kapituły, jurorzy nagrody: Ewa Graczyk, Jerzy Jarzębski (przewodniczący), Anna Kałuża, Zofia Król, Zbigniew Kruszyński, Józef Olejniczak i Justyna Sobolewska wybrali pięcioro nominowanych „po głębokim namyśle i gorących sporach”.

- Maciej Hen nominację otrzymał za powieść *Solfatarą* (W.A.B.),
- Agnieszka Kłos za zbiór opowiadań *Gry w Birkenau* (Fundacja na Rzecz Kultury i Edukacji im. T. Karpowicza),
- Weronika Murek za *Uprawę roślin potłoniowych metodą Miczurina* (Wydawnictwo Czarne),
- Maciej Płaza za powieść zatytułowaną *Skoruń* (W.A.B.),
- Tomasz Wiśniewski za książkę *O pochodzeniu tajdaków, czyli opowieści z me-tra* (Lokator).

Nagrodę Literacką im. Witolda Gombrowicza ustanowił samorząd Radomia. Organizatorem nagrody jest prezydent Radomia, współorganizatorem Muzeum Witolda Gombrowicza, oddział Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza. Wartość nagrody to 40 000 zł.

Nazwisko laureata zostanie ogłoszone 4 września 2016 r. Jego ogłoszenie poprzedzi trzydniowy festiwal literacki z udziałem m.in. Rity Gombrowicz, członków kapituły oraz nominowanych autorów.

A oto, co o książkach zgłoszonych do nagrody mówili jurorzy tuż przed posiedzeniem kapituły:

Ewa Graczyk: „Mnie osobiście zdumiały i wydały się rzeczą bardzo interesującą debiuty czy też wczesne książki autorów 60-letnich. I to często były książki bardzo, bardzo, bardzo wybitne”.

Jerzy Jarzębski: „Literatura polska ma się całkiem dobrze: debiuty, które ukazały się w ciągu ostatnich dwóch lat, o tym świadczą. Świadczą przede wszystkim o bardzo dużej różnorodności”.

Justyna Sobolewska: „Ci autorzy, którzy piszą o wsi i jakoś są z nią związani (a w każdym razie ją znają), nostalgicznie, ale nie w prosty sposób pokazują okrucieństwo i okropieństwo wsi: ta wieś jest śmierdząca, jest brudna, ale jest pełna przede wszystkim języka. Wydaje mi się, że tym, co najbardziej pociągało autorów w pisaniu o wsi, jest próba ocalenia tego języka. I to się udaje”.

Józef Olejniczak: „Jeśli będziemy potrafili w polskim życiu literackim traktować instytucję nagrody literackiej (także tej nagrody, która mam nadzieję wejdzie na trwałe do kalendarza) jako formę zabawy literackiej, ale także formę powrotu do mówienia o literaturze, do życia literaturą, to i patron nagrody, i wszyscy bardzo wiele na tym skorzystamy”.

Anna Kałuża: „W moim przekonaniu w dużej części to literatura bardzo odtwórcza, choć nie w takim sensie, że ktoś kopiuje czyjeś go-



Jury podczas obrad

towe pomysły, ale dlatego, że uruchamia te mechanizmy lekturowe i percepcyjne, ten autorytet literatury, który bardzo dobrze znamy przynajmniej od 25 lat”.

Zbigniew Kruszyński: „Będziemy nominować pięć książek, za chwilę dopiero to się rozstrzygnie i nie będzie to łatwe. Trzeba będzie boleśnie zrezygnować z niektórych książek, a na pewno zasługiwałyby na to, żeby zostać wyróżnione. To jest trudny moment eliminacji”.

Zofia Król: „Najlepsze z książek nadesłanych w tym roku do nagrody im. Gombrowicza okazały się przede wszystkim bardzo od siebie różne. Ta różnorodność może najlepiej pokazuje, że szeroko i chętnie głoszone zły stan polskiej prozy to diagnoza zbyt ostra, a co najmniej nieaktualna. Widać to nie tyl-

ko na poziomie fabuły, doboru tematów opowieści, ale i – co istotne dla kształtowania się dojrzałego literackiego języka – formy gatunkowej i autorskiego stylu najlepszych z debiutanckich książek”

Radosław Witkowski, prezydent Radomia, wyjaśnia, dlaczego zdecydował się powołać nagrodę literacką dla debiutantów:

„Radom to miasto otwarte na świat i pełne dobrej energii. To miasto wyjątkowo sprzyjające debiutantom, to dobre miejsce do startu w twórczość i karierę. Radom to miasto kultury i będzie nim coraz bardziej, bo bez inwestowania w kulturę nie da się stworzyć miejsca dobrego do życia”.

Jacek Koniecpolski

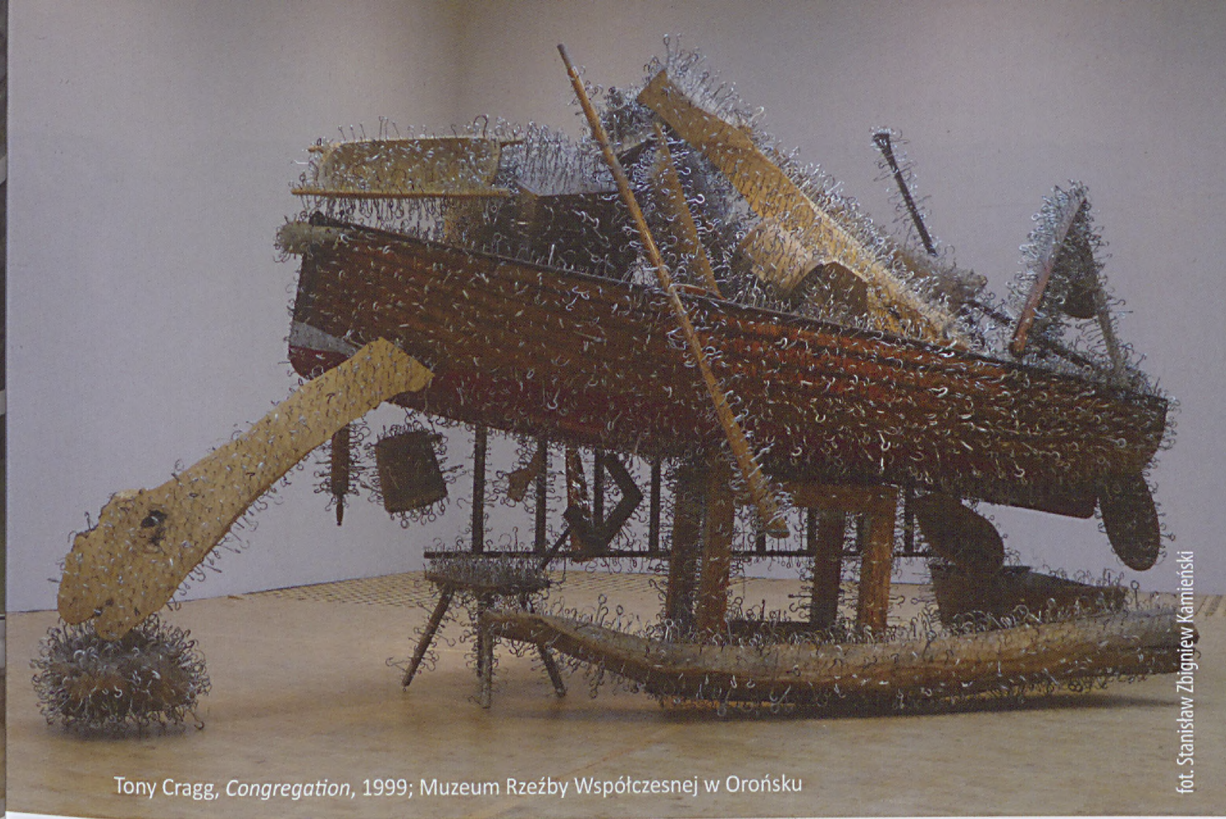




## Tony Cragg w Orońsku

Lidia Ziemińska

fot. Stanisław Zbigniew Kamiński



Tony Cragg, *Congregation*, 1999; Muzeum Rzeźby Współczesnej w Orońsku

fot. Stanisław Zbigniew Kamiński

Od 11 czerwca czynna jest w Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku wielka wystawa prac brytyjskiego rzeźbiarza Tony’ego Cragga. Ekspozycje możemy zobaczyć we wszystkich obiektach orońskich (oprócz pałacu Brandta): w Muzeum Rzeźby Współczesnej, w Oranżerii i w Kaplicy, a siedem rzeźb także w przestrzeni otwartej, na wolnym powietrzu w parku i przed budynkami. Kuratorką wystawy jest nowa dyrektorka Centrum Eulalia Domanowska.

Orońska wystawa pokazuje 40 dzieł artysty z lat 1984–2015, rzeźbom towarzyszą rysunki i akwarele będące autonomicznymi dziełami, choć mogą też stanowić rzeźbiarskie szkice. Przedstawiają różne przekształcenia formy, przenikania materii i grę ze światłem. Na jednym z rysunków możemy zaobserwować, jak artysta przekształca kobiecy profil w abstrakcyjną kompozycję, tytuł „Głowa kobiety” odnosi się do jednej z jego abstrakcyjnych kompozycji rzeźbiarskich. Wystawę w Muzeum Rzeźby Współczesnej otwiera kompozycja „Congregation” z 1999 r. To autentyczna łódź wypełniona

różnego rodzaju przedmiotami z drewna. Nie byłaby owa kompozycja tak niezwykła, gdyby nie fakt, że we wszystkie przedmioty i w samą łódź zostały wkręcone tysiące, być może dziesiątki tysięcy większych i mniejszych haczyków, odbijających światło. Łódź srebrzy się jak w świetle księżycy, a haczyki przypominają mi wodorosty oblepiające stare, wyciągnięte z dna mórz łajby albo małe, skrzące się rybki, które ławicą otoczyły łódź. Całą kompozycję cechuje rozedrganie materii, intrygująco kontrastuje tutaj drewno – matowe, głuche – z połyskującym, dźwięcznym metalem.

Swoje obiekty przestrzenne tworzy Cragg z różnych materiałów. Artysta bawi się formą tak, że możemy z całą pewnością stwierdzić, że niemal nie istnieją dla niego ograniczenia materiałowe. Wygląda to tak, jakby nieograniczona wyobraźnia artysty pozwalała na niemal dokładne odtworzenie w przestrzeni modeli wytworzonych z olbrzymią swobodą w głowie i narysowanych na papierze. Mnie zachwycały rzeźby z drewna, w których kolor odgrywa też ważną rolę, monumentalne, dynamiczne, zwracają

ce uwagę techniczną wirtuozerią. Bardzo pobudzają moją wyobraźnię. Inna praca to kompozycja form przypominających jakieś wielkie starożytne naczynia, które zyskują ciekawą fakturę dzięki wydrążonym na całej ich powierzchni otworom, z daleka rzeźba wygląda jak upstrzona czarnymi punktami... Obok usytuowano rozczłonkowaną kompozycję (mnie kojarzy się z twórczością Henry Moora), której pofalowana powierzchnia pokryta została tysiącami kostek do gry, wszystkie są koloru kości słoniowej, a zmienna liczba „oczek” na kości wzmacnia wrażenie pulsowania całej struktury. Cragg z zaskakującą inwencją wykorzystuje w swoich dziełach różnorodne materiały i przedmioty. Pamiętam jego prace z wystawy, którą niemalże 20 lat temu oglądałam w Bratysławie (gdy byłam tam na stypendium artystycznym podczas studiów w krakowskiej ASP). Artysta używał wówczas przedmiotów gotowych, zapamiętałam nastrojowe w kolorze kompozycje ze sztućców i plastikowych naczyń. Tony Cragg ustawiał z nich wielopiętrowe instalacje, dobierając naczynia odcieniami kolorów. Do tamtych

prac nawiązują trzy kompozycje, które możemy oglądać w orońskiej Oranżerii. Są to szklane instalacje, dwie pierwsze składają się z setek naczyń o różnych kształtach i formach; są tam kufki, kieliszki, kubeczki, wazony, kielichy, butelki poustawiane na leżących szklanych taflach. Pierwsza kompozycja jest zbudowana ze szkła przezroczystego z podziałami nie tylko poziomymi, ale też przy użyciu tafli ustawianych pionowo, druga – ze szkła matowego. Trzecia kompozycja to ułożone z wielkich butli „winogrono”. Tym lekkim kompozycjom towarzyszą kojarzące się z wieżami katedralnymi albo minaretami obiekty zestawiane z różnych metalowych, o naturalnym, rdzawym zabarwieniu kół, obręczy i osi; to destrukty z jakichś maszyn i urządzeń. Kompozycja ta kontrastuje pod każdym względem z delikatnymi, szklanymi obiektami. Nie zdołam opisać wszystkich rzeźb, które można zobaczyć na wystawie w Orońsku, skupię się jeszcze na dwóch pracach. Jedna z nich została usytuowana w niedalekiej odległości od Kaplicy; objawia się naszym oczom niczym pionowa metaliczna struga wśród drzew, piękna w tej



zakłętej, meandrycznej struktury, jakby artysta zatrzymał na chwilę wielką energię! Druga praca, która utkwiła mi jeszcze w pamięci, jest statyczna, składa się z jednej, choć rozczłonkowanej bryły. Z daleka przyciąga interesującą materią, jakby powierzchnia rzeźby była dżgana z rozmachem dłutem, po podejściu bliżej okazuje się, że faktura ukształtowana jest z różnych nachodzących na siebie liter i cyfr. Całość przypomina mi wielką biurową pieczętkę.

Na koniec kilka zdań o samym artyście.

Tony Cragg urodził się w 1949 r. w Liverpoolu. Ma pozycję jednego z najwybitniejszych artystów brytyjskich. Ukończył Wimbledon School of Art (1970–1973) oraz Royal College of Art w Londynie (1973–1977). Jego prace pokazywano w wielu prestiżowych muzeach, galeriach i parkach rzeźby, m.in. w Muzeum Luwr, Galerie Bevedere w Wiedniu, na Biennale CAFA w Pekinie, Biennale w Sydney, Muzeum Sztuki w Limie, Biennale w Wenecji, kilkakrotnie na wystawie Documenta w Kassel w Niemczech. W 1988 r. reprezentował Wielką Brytanię na 43. Biennale w Wenecji, w tymże roku otrzymał również prestiżową Nagrodę Turnera w Londynie, a w 2002 r. został Komandorem Orderu Imperium Brytyjskiego. Był profesorem na Uniwersytecie Sztuk w Berlinie oraz profesorem i rektorem w Kunstakademie w Düsseldorfie. Artysta mieszka i tworzy w Wuppertalu (od 1977 r.), gdzie założył własne studio. Od 2006 r. prowadzi tam



Tony Cragg, *Elliptical Column*, 2012; w orońskim parku na tle Kaplicy

Park Rzeźby Waldfrieden, położony w krajozrazowym rezerwacie przyrody. Współpracuje z londyńską Lisson Gallery (od 1979 r.).

**Lidia Ziemińska**

Tony Cragg, Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku, 11 czerwca – 30 października 2016 r.

fot. Stanisław Zbigniew Kamiński

Justyna Kiełbasa (rocznik 1980), absolwentka radomskiego Liceum Sztuk Plastycznych i Politechniki Radomskiej, gdzie na Wydziale Nauczycielskim studiowała w Katedrze Sztuki (2000–2005), przygotowując dyplom z malarstwa sztalugowego. Obecnie jest rencistką, zajmuje się malarstwem i rysunkiem, projektuje witraże z motywami religijnymi. Interesuje ją głównie pejzaż, martwa natura i autoportret. Pisze również wiersze. Trzy lata temu w galerii „Miesięcznika Prowincjonalnego” (nr 4/139; 2013 r.) pokazywałem jej rysunkowe autoportrety, na których przygląda się sobie przez dziurawe zasłony i sznurki, przez szybę, przez woalkę, przez opadające na twarz włosy albo jednym okiem; drugie mruży czy zasłania rondem kapelusza. Wizerunki własnej twarzy wydają się często niepokojące poprzez intensywność, natarczywość spojrzenia.

Tym razem pokazuję obrazy Justyny Kiełbasy malowane olejnymi farbami na tekturach i płytach niewielkich formatów; artystka ma niezwykle wycucie koloru. Załączam jej autorski komentarz do tej części twórczości, tekst prozatorski przeplata się tu z poetyckim, rymowanym.



fot. Stanisław Zbigniew Kamiński

## Justyna Kiełbasa

*Wakacje to czas wolny, ale nie dla mnie, choć czy malowanie może odbierać wolność?*

*Gdy wyglądam przez okno w ganku, widzę, jak światło zmienia wygląd otoczenia, zależnie od pory dnia, tyle ciekawych motywów mogę zaobserwować latem, nawet na niewielkim terenie działki. Oczywiście jest tu stary garnek i inne żelastwo, cegły i kamienie, z których można ułożyć martwą naturę lub coś innego, co może mieć praktyczne znaczenie.*

*Są drzewa w sadzie, gdzie, nie dalej jak rok temu, umieściłam stracha na wróble, poszukując motywu łączącego naturę z figurą ludzką, choć to tylko kukła; pnie drzew były wtedy jeszcze pobielone, co dawało całkiem ciekawy efekt kolorystyczny w połączeniu z zielenią trawy i ubiorem stracha. Czasem drzewa pod wpływem wiatru gubią gałęzie i liście, niezależnie od pory roku, ale ja najbardziej chyba lubię jesień lub przynajmniej dżdżystą pogodę; zamykam się wtedy na ganku, kiedy jestem sama, i maluję to wszystko. Ocalam od zapomnienia nie trwałość i zmienność.*

*Rok po roku, po każdym, w trudzie postawionym kroku, pojawia się coś na kształt spełnienia, gdy wiem, że mam tak dużo i tak mało do stracenia.*





*Na jesieni*, 2013; olej, tektura; 27,7 x 33 cm

bez tytułu, niedatowany  
olej, płyta; 37 x 27,5 cm



*Liście róży*, 2014; olej, tektura; 28 x 22,5 cm





*Kwiatek na tle okna*, 2013  
olej, tektura; 34 x 43,7 cm

*Okno i kapelusz*, 2013  
olej, tektura; 33 x 35,5 cm

na następnej stronie

*Krajobraz*, 2013  
olej, tektura; 28,8 x 35 cm

bez tytułu, 2014  
olej, tektura; 19 x 22 cm







*Liść chrzanu  
zjedzony przez owady, 2014*  
olej, tektura; 22 x 37 cm

bez tytułu, niedatowany  
olej, płyta; 31 x 26,7 cm

na następnej stronie

*Liście paprotki, 2014*  
olej, tektura; 25,5 x 25 cm

bez tytułu, niedatowany  
olej, płyta; 31 x 26,7 cm







Mój cień, 2013; olej, tektura; 43 x 31 cm

## (nie)wdzięczność przedmiotów martwych

Robert Utkowski

Jak zapewne Państwo wiedzą, numery „Miesięcznika Prowincjonalnego” od jakiegoś czasu są tematyczne. Chwilami temat trudno wychwycić, odnaleźć, rwie się i gubi, ale tym ciekawiej w ogólnym oglądzie wypada lektura; jest co śledzić. Powody tego zagubienia są różne, czasem po prostu autor zapomniał, o czym miało być, a bał się zapytać. Tak jest ze mną. Teraz. Wydaje mi się, że miało być o wdzięczności, ale pewny nie jestem, więc będę wdzięczny, jeśli zechcą mi Państwo wybaczyć.

W ósmym odcinku piątej serii „Przyjaciół”, w intro, bohaterowie mówią, za co są wdzięczni. Joey: „Jestem wdzięczny za tę piękną jesień. Kiedy stanąłem na przystanku dmuchnął, jesienny wiatr i podwiał spódnicę jednej lasce. Jestem też wdzięczny za stringi”.

To pokazuje, że nie trzeba wiele, żeby poczuć wdzięczność. Wszystko może być powodem. Jedna ze stron w internecie podpowiada, za co można być wdzięcznym:

słoneczny dzień  
brak korków na ulicy  
smaczny obiad  
spacer  
ciekawny film  
miła rozmowa z koleżanką  
zakończenie projektu w pracy  
taniec w deszczu / widok tęczy  
kwiatek od męża / chłopaka  
chwila czasu na odpoczynek  
pokój, brak wojny  
spokojny sen  
cisza  
szum deszczu  
nauczenie się czegoś nowego

ciekawa książka / spektakl  
cierpliwość / wyrozumiałość kogoś względem mnie  
dzieci, rodzina  
miła obsługa w sklepie / kiosku / u fryzjera  
śmieszny żart, który poprawił humor  
ciastko  
uśmiech dziecka  
telefon / SMS od przyjaciela  
kolejny dzień życia  
koniec kataru

Kurczę blade (jestem wdzięczny, że już się tak nie mówi). Jakie zestawienie: kolejny dzień życia – koniec kataru. Albo lepsze: śmieszny żart – kolejny dzień życia (to akurat nawet głębokie, ale i tak jestem wdzięczny, że takich stron nie jest za dużo). Swoją drogą z podanych przez autorkę / autora strony przykładów można spokojnie stworzyć generator wierszy. Aż samo się prosi:

słoneczny dzień  
spokojny sen

kolejny dzień życia  
śmieszny żart

koniec kataru

Jest taki fragment w książce *Pięć lat kacetu* Stanisława Grzesiuka, w którym autor opisuje, jak podczas apelu w którymś z obozów koncentracyjnych w czasie II wojny światowej hitlerowiec kopnął go w dupę. I poczuł Grzesiuk wdzięczność dla hitlerowca. Poczuł wdzięczność, bo kopniak sprawił, że Grzesiu-





rys. m@d 2016

kowi pękł wrzód na dupie i tym samym dupa przestała boleć.

Dziwnymi chodzi ścieżkami łaska Pańska.

Inna rzecz, że z tą „wdzięcznością” jest dziś pewien kłopot. Każdy czasem coś takiego czuje, mało kto się do tego przyzna. Jednocześnie bardzo często „wdzięczność” sąsiaduje z wkurzeniem, albo czymś takim. Bo na przykład łapie cię policja. Przekroczenie prędkości. Powiedzmy, 200 zł. I punkty. Wkurzyć się czy być wdzięcznym, że nie zauważyli, że gadałeś przez telefon?

Pada. Od kilku dni. Kałuże wszędzie. Na twojej drodze taka, że nie ominiesz. Ryzykujesz i dajesz krok. W sam środek. I noga wpada po kostki. Złość czy wdzięczność, bo przecież mogło być głębiej?

Jesteś pracownikiem muzeum. Szacownego, noszącego zaszczytne imię wielkiego malarza. Poświęcasz kilka, a może nawet kilkanaście miesięcy na opracowanie wielkiego tomu poświęconego temu malarzowi. Monumentalne dzieło. Świetnie wydane. Bardzo dobrze przyjęte. I nagle jakiś student, piszący

swoje pozał się Boże magisterium odkrywa, że w wierszu (malarz także czasami coś napisał; powinniśmy być wdzięczni, że nie za wiele) odczytana przez ciebie z rękopisu wyspa Bodos nie istnieje. Istnieje za to Rodos. I co teraz? Być wdzięcznym, że monumentalne dzieło stało się przyczynkiem do czyichś dociekań naukowych, czy wkurzyć, że taki wydawać by się mogło drobiazg, a psuje sporą część efektu?

Bądźmy wdzięczni za korektorów.

I za liczniki znaków. Bo zapisując te słowa, dobijam do tradycją uświęconej liczby: cztery tysiące, co oznacza, że spokojnie mogę zamknąć komputer i położyć się spać. Jest druga w nocy. Jutro kolejny dzień życia. Śmieszny żart. Ale jestem wdzięczny. Nie mam kataru, mogę się schylić, sam sobie wiązę sznurówki. Mam co jeść. A dzięki tym czterem tysiącom znaków może będę miał co pić. Jeszcze tylko dwadzieścia dwa znaki.

Już.

**Robert Utkowski**



## Edytor – literacki detektyw...

Z prof. Beatą Utkowską rozmawia Ilona Michalska-Masiarz

fot. archiwum

### Jesteś radomianką z urodzenia? Czy się mylę?

Jestem kielczanką. Do 25. roku życia o Radomiu wiedziałam tyle, że to rodzinne miasto Malczewskiego. I że leży na trasie do Warszawy. No i oczywiście, że – z powodów właściwie do dziś dla mnie niejasnych – od lat tkwi w jakimś konflikcie w Kielcami. Po raz pierwszy przyjechałam tu do narzeczonego, obecnie męża – i tak już zostałam.

**Ponieważ pracujesz w Kielcach, w Radomiu jedynie wtajemniczone grono wie, czym się zajmujesz... Jesteś doktorem habilitowanym zatrudnionym na stanowisku profesora UJK. Jak trafiłaś na uniwersytecką katedrę?**

To żadna nadzwyczajna droga, powiedziałabym, że dość typowa... Chyba od zawsze chciałam studiować filologię polską. Marzyłam o Krakowie, na który moich rodziców nie było jednak stać. Więc zostałam w rodzinnym mieście. Nie żałuję – pisałam pracę magisterską pod kierunkiem prof. Zdzisława Jerzego Adamczyka. Zaproponował mi asystenturę i wysłał na staż doktorancki do Krakowa. Tak trafiłam na seminarium doktoranckie prof. Franciszka Ziejki. W 2002 r. obroniłam doktorat na Uniwersytecie Jagiellońskim, osiem lat później habilitowałam się w Instytucie Badań Literackich PAN w Warszawie. W tym roku minęło 20-lecie mojej pracy za-



wodowej – i przez te lata przeszłam wszystkie (już niemal) szczeble kariery naukowej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach: od asystenta przez adiunkta do profesora nadzwyczajnego.

**Zaintrygował mnie tytuł wykładu, jaki przeprowadziłaś dla uczniów szkół średnich i gimnazjalistów ze Świętokrzyskiego – uczestników konkursu sienkiewiczowskiego. Brzmi on następująco: „Genialny sadysta Sienkiewicz”, czyli Trylogia czytana dziś... Czy możesz w skrócie przybliżyć główną tezę swojego wystąpienia?**

To Rok Sienkiewiczowski i takie popularyzatorskie czy popularnonaukowe wykłady prowadzone są na większości uczelni. Mój wykład był wyrazem – pełnego naukowej zażyłości – podziwu dla prac prof. Ryszarda Koziołka, specjalisty od Sienkiewicza. „Genialny sadysta Sienkiewicz” to cytat z jego artykułu. Starłam się zaproponować młodzieży taki sposób czytania *Trylogii*, który nie koncentruje się na tematach patriotyzmu, polskości i katolicyzmu (dla licealistów strasznie nudnych), ale pokazuje Sienkiewicza trochę jako XIX-wiecznego George’a Martina, autora sagi *Pieśń lodu i ognia*, na podstawie której powstała Gra o tron. Przemoc, erotyzm, wojna, przygoda, wciągająca fabuła – to wszystko jest u Sienkiewicza, ale skrojone na miarę tamtych czasów, ograniczone ówczesnymi konwenansami i oczekiwaniami czytelnikami, no i mocno uzależnione od polskiej historii.

**Zająłaś się edycją krytyczną dzieł Stefana Żeromskiego. Napisałaś projekt, wygrałaś grant i jesteś kierownikiem przedsięwzięcia. Zresztą nie pierwszy to grant w Twoim życiu zawodowym. Wcześniej, w latach 2004–2006, dzięki dofinansowaniu Komitetu Badań Naukowych realizowałaś edycję dzienników Władysława Reymonta. Efek-**

**tem było wydanie w 2009 r. *Dziennika nieciągłego. 1887–1924. Czy to było pierwsze wydanie diariuszy tego pisarza? Jaki był odbiór czytelników po ukazaniu się tej publikacji? I skąd w ogóle Twoje zainteresowanie Reymontem?***

Reymonta sama sobie wymyśliłam jako temat pracy magisterskiej. To były czasy, kiedy na wybrane seminarium dyplomowe trzeba było przyjść z własną propozycją tematu, bo to student zabiegał o przyjęcie na zajęcia, a nie odwrotnie... Bardzo chciałam się dostać na seminarium literaturoznawcze z pozytywizmu i Młodej Polski. Choć powody były kuriozalne: w moim ówczesnym przekonaniu literatura staropolska to był oksymoron, romantyzm wydawał mi się strasznie rozdęty, a ze współczesnej – o ile pamiętam – seminarium w ogóle nam nie zaproponowano. Chyba przygotowałam się solidnie, bo materiał, jaki zgromadziłam przy pisaniu magisterium, stał się punktem wyjścia do doktoratu. Książka *Poza powieścią. Małe formy epickie Reymonta* (Kraków 2004) powstała na bazie rozprawy – to monografia całej pozapowieściowej twórczości epickiej Reymonta.

Grant Komitetu Badań Naukowych na opracowanie dzienników Reymonta był konsekwencją doktoratu. Pracowałam nie tylko na opublikowanych utworach pisarza, ale i na jego rękopisach. Byłam zaskoczona rozmiarami archiwum Reymonta. I zdumiona, że spuścizna – Noblisty przecież, a wielu ich nie mamy – wciąż jest nieopracowana. Jego dzienniki publikowane były tylko we fragmentach, podobno nikt nie miał pomysłu na ich wydanie. Zapisy diaryjstyczne Reymonta rzeczywiście stanowiły wyzwanie: znajdują się w zeszytach przeznaczonych do przeróżnych celów (np. między notatkami służbowymi Reymonta z czasów, gdy pracował na kolei), wpisywane bez dbałości o chronologię i jakąkolwiek logikę. Wymagały dokładnego przeczytania tysięcy stron rękopisów (zapisanych

w sposób niełatwy do odszyfrowania), uporządkowania wedle jakiegoś kryterium, objaśnienia. Uznałam, że spróbuję, i efektem jest książka *Dziennik nieciągły. 1887–1924*. Udało mi się „przywrócić do życia” jeszcze jeden tekst Reymonta – najbardziej osobisty i autobiograficzny. Liczę na to, że stanie się kiedyś podstawą przygotowania solidnego kalendarium życia i twórczości autora *Chłopów*. W każdym razie zeszłoroczny Rok Reymontowski budzi takie nadzieje.

**A jak *Dziennik nieciągły* został przyjęty? Polska Akademia Nauk nadała mi na tej podstawie stopień doktora habilitowanego, więc chyba dobrze...**

**Praca nad drugim grantem trwa, rozpisana jest na lata 2014–2018, a już ukazały się w Twoim opracowaniu dwa tomy: *Nawracanie Judasza i Zamieć*. O co chodzi z tym edytowaniem...? Na czym ono polega? Czy warto to robić? Czy ktoś jeszcze czyta Żeromskiego lub Reymonta?**

To bardzo, bardzo szerokie pytanie...

Prace nad dziennikami Reymonta uświadomiły mi, że to, czym chciałabym się w nauce zajmować, to edytorstwo. Edytor to trochę taki literacki detektyw. Tropi i śledzi autorskie ślady, łapie na kłamstwach, wydobywa nieznanne fakty, przypomina o sprawach i ludziach nieraz zupełnie już zapomnianych. Edytorstwo tekstów nieliterackich, np. listów czy dzienników, to naprawdę niezwykła przygoda. Często rozpoczyna się na cmentarzach, szukaniem wspomnianych w tych listach czy dziennikach grobów ludzi. Później wielogodzinne szperanie w archiwach, w starych dokumentach, gazetach. I odkrywanie, że rzeczywiście istniał „nijaki Puszw”, który miał zarażać Reymonta mediumizmem – że naprawdę nazywał się Lucjan Pusz, że był nauczycielem języków starożytnych, że ma swoje akta w częstochowskim Archiwum Państwowym. Albo znalezienie w aktach stanu cywil-

nego Parafii Rzymskokatolickiej św. Szczepana w Krakowie dokumentu potwierdzającego dyspensę od małżeństwa Aurelii i Teodora Szablowskich (powodem miała być impotencja męża), na mocy której miesiąc później Reymont mógł tę Aurelię po sześciu latach narzeczeństwa poślubić... Czego zresztą cztery lata później gorzko już żałował...

Edytorstwo dzieł literackich jest może bardziej żmudne i czasochłonne, bo wymaga skrupulatnego sczytania, porównania ze sobą wielu przekazów tego samego tekstu, np. sześciu różnych wydań *Nawracania Judasza Żeromskiego* i brulionu tej powieści. Ale też daje ogromną satysfakcję, bo pozwala – jak w tym przypadku – złapać pisarza na pokątnym przepisywaniu, kopiowaniu prac innych autorów... Z rekonstrukcji dziejów tekstu często wynikają zaskakujące rzeczy: przedziwne zacytowanie życia i literatury, zniekształcenia, na które autor przystawał lub przeciwko którym się broił. Edytor ma przywrócić tekstom właściwe brzmienie, często zepsute przez wydawców, drukarzy, korektorów. Bo przecież ma znaczenie – to akurat przykład z Miłosza – czy poeta mówi o „kosmatości bobra”, czy „kosmatości dobra”. To tylko literówka, ale ile stwarza możliwości interpretacyjnych...

Na kieleckiej uczelni kontynuujemy (mam nadzieję, że skończymy) edycję krytyczną *Pism zebranych* Żeromskiego. To przedsięwzięcie zainicjowane dawno, jeszcze w latach 70. ub. wieku, przez nieżyjącego już prof. Zbigniewa Golińskiego. Obecnie naukową pieczę nad edycją pełni prof. Zdzisław Jerzy Adamczyk. W ramach grantu przyznanego nam w 2014 r. wydaliśmy już pięć tomów: *Dzieje grzechu*, wspomniane przez Ciebie dwa tomy *Walki z szatanem*, pierwszy tom publicystyki. Trzy kolejne tomy ukażą się jeszcze w te wakacje. W 2017 r. wyjdą dwa ostatnie brakujące tomy pism literackich i publicystycznych – te tomy publicystyczne mają szczególne znaczenie, bo to będzie pierwsza pełna edycja



publicystyki Żeromskiego. Musiał na nią czekać niemal 100 lat! Pozostaną do opracowania i wydania *Dzienniki*. Ale to już w nowym, wszyscy na to liczymy, rozdaniu grantowym. Po co i dla kogo to robimy? Nie chcę zabrzmieć patetycznie, ale chyba dla Żeromskiego... W wielu ośrodkach akademickich prowadzone są obecnie prace edytorskie nad solidnymi, naukowymi wydaniem krytycznymi Norwida, Słowackiego, Prusa, Schulza... Twórczość tych pisarzy to nasze dziedzictwo narodowe, nasza tradycja, historia i kultura. Nie dajmy sobie wmówić, że przebrzmiała, anachroniczna i niepotrzebna. O to dziedzictwo po prostu trzeba dbać. To się tym pisarzom od nas należy.

**Chciałabyś jako podsumować swoje dotychczasowe osiągnięcia? Niewątpliwie wiele z wdzięczasz pracowitości, upartemu dążeniu do celu, umiejętnościom, ale chyba niemożliwe jest dojście do czegoś bez wsparcia innych... „W całym życiu najistotniejsze jest to, czy przyjmujemy rzeczy za oczywiste, czy też z wdzięcznością” stwierdził Gilbert Keith Chesterton, rówieśnik Reymonta i Żeromskiego, zresztą miłośnik Polski...**

Beata Utkowska – historyk literatury i edytor naukowy, profesor nadzwyczajny w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. W polu jej zainteresowań badawczych znajdują się: literatura przełomu XIX i XX w. (szczególnie życie i twórczość Władysława Stanisława Reymonta i Stefana Żeromskiego), literatura dokumentu osobistego, literatura najnowsza oraz tekstologia i edytorstwo naukowe.

Jest autorką książki *Poza powieścią. Małe formy epickie Reymonta* (2004) oraz opracowań edytorskich: *Władysław Stanisław Reymont Dziennik nieciągły. 1887–1924* (2009), *Stefan Żeromski Pisma zebrane*, t. 16: „Walka z szatanem”, t. 1: „Nawracanie Judasza” (2014), *Stefan Żeromski Pisma zebrane*, t. 17: „Walka z szatanem”, t. 2: „Zamięć” (2015), współredaktorką tomu *Literatura i życie artystyczne XIX i XX wieku* (2006). Publikowała m.in. w „Pamiętniku Literackim”, „Przeglądzie Humanistycznym”, „Ruchu Literackim”, „Aktach Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu”.

Wszystko, czego się nauczyłam w edytorstwie naukowym, zawdzięczam prof. Adamczykowi. Wypatrzył mnie wiele lat temu na seminarium magisterskim, dał mi szansę, zaraził edytorską pasją. Czasem może żałuje...

**Jakie masz plany? Na pewno przez najbliższe dwa lata będziesz zajęta kolejnymi tomami ze spuścizny Żeromskiego... A potem? Habilitacja już za Tobą, teraz czas na profesurę, tylko teraz tę prezydencką...**

Tak, przede wszystkim trzeba skończyć ten grant. A później? Na pewno nie zrezygnuję z edytorstwa. Mocno wierzę, że ma ono sens, że jest potrzebne. Jeśli przy okazji da mi „uzwyczajnienie”, to świetnie – ale nie dla stopni czy tytułów naukowych to robię. Mam to rzadkie szczęście, że praca jest moją pasją.

**Moje pytania o sens edytorstwa były prowokacją... Jakże bibliotekarz może wątpić w wartość takiej działalności?**



## Ulica Wąska w Radomiu. Pamięci Bernarda Gotfryda (1924–2016)

Stanisław Zbigniew Kamieński

**T**rzeciego czerwca tego roku zmarł w Nowym Jorku Bernard Gotfryd. Był radomiaininem, urodził się w rodzinie żydowskiej w roku 1924, mieszkał przy ulicy Wąskiej 8. Od wczesnych lat interesowała go fotografia, na 12. urodziny dostał aparat fotograficzny Brownie. Pierwsze zdjęcie wykonane tym aparatem przedstawia widok z mieszka-

nia na otoczone komórkami podwórce. Znam dobrze to miejsce, niewiele zmieniło się od czasów dzieciństwa Bernarda Gotfryda. Nie trudno je znaleźć, ulice Wąska i Witolda nie zmieniły nazw, zniknęły co prawda drewniane szopy, rozbierane zapewne podczas wojennych zim na opał (w jednej z nich mieszkała przed wojną handlarzka, „kobieta z czer-



wonym nosem”), wycięto sad, ale dalszą zabudowę można rozpoznać.

Jestem także radomianinem, choć moi rodzice nie pochodzą z Radomia, znaleźli się tu po wojnie jako uchodźcy z Grodna, dlatego nie mogłem poznawać historii i topografii miasta z rodzinnych relacji. W domu rodzice często wspominali Grodno, gdzie przeżyli młodość, był to ich raj utracony, nawet jeżeli dorastali w strasznych wojennych latach. Poznawałem świat poprzez Radom, ale inaczej niż moi rówieśnicy, dla których własne miasto jest gęstą siatką miejsc związanych z rodzinnymi wspomnieniami kilku pokoleń. Dla mnie Radom był w tym sensie obcym miastem i właściwie do dziś czuję się tu nieswojo. Nie mam chyba własnego miejsca na ziemi, ale, w zamian za to, wszędzie, gdziekolwiek się znajdę, czuję się dobrze. Zastanawiam się czasem, czy podobne wrażenia dotyczą większości ludzi, którzy zmienili miejsce życia nie z własnej woli, zmuszeni do ucieczki, poszukiwania bezpiecznych miejsc. Co odczuwał Bernard Gotfryd, zamieniając spokojny, prowincjonalny Radom na Nowy Jork, gigantyczną, tętniącą nieustannym życiem metropolię?

Lubiłem, odkąd pamiętam, chodzić ulicą Wąską, wybrukowaną kocimi łbami, nie znając jeszcze jej nazwy. Gdy dorastałem, coraz więcej ulic w centrum Radomia otrzymywało asfaltowe nawierzchnie, ale ulica Wąska do dziś zachowała (ocaliła) swój bruk z wieloma nierównościami i dziurami. Nie potrafię uzasadnić sympatii do tej okolicy, bo urodziłem się kilkaset metrów dalej, w sąsiedztwie parku Kościuszki, wówczas, dla dzieciaka, nie było to tak blisko, jak jest dla mnie dziś. Gdy teraz próbuję zrekonstruować podstawy owej sympatii, nie jestem pewien, czy są one prawdziwe, czy tak mi się tylko wydaje. W każdym razie dziś myślę, że lubiłem się tam znaleźć z tej przyczyny, że dochodziłem tym sposobem do szczytu. Jakiego znów szczytu? – ktoś zapyta. Radom rzeczywiście leży na dość płaskim

terenem, więc i szczyt nie jest w żadnym razie imponujący. Ale z miejsca, w którym krzyżują się ulice Witolda i Kilińskiego, teren lekko opada w trzy strony. Stąd krótka ulica Wąska też odchodzi skosem w dół, w kierunku dawnego szpitala św. Kazimierza (gdzie kiedyś słychać było za wysokim murem śpiew ciotki Salka). Lubiłem ten obszar również dlatego, że luźna zabudowa pozwalała przechodzić nie tylko wzdłuż wyznaczonych ulic, ale i na skróty, między domami, więc bardziej niż gdzie indziej miało się poczucie wolności.

W wieku 12 lat nie miałem jeszcze swojego aparatu fotograficznego i nie robiłem samodzielnie zdjęć, ale ojciec kupił kiedyś aparat (za pieniądze zaoszczędzone na lodówkę) i robił od czasu do czasu zdjęcia rodzinne. Przejąłem aparat taty chyba po maturze, gdy nie dostałem się na studia i zacząłem pracować w dekoratorni PSS. W porze gdy na ulicach nie było prawie ludzi (np. wcześniej rano w niedzielę), fotografowałem zanedbane zaułki, malownicze moim zdaniem fragmenty miejskiej zabudowy. Nie będę rozwijał wątku, że w czasach PRL-u nie było to bezpieczne, niewinne zajęcie, bywałem nie tylko zatrzymywany przez milicję, ale i indagowany, traktowany nieufnie przez mieszkańców, nie należało to jednak do tej opowieści. Robiłem zdjęcia głównie w swojej dzielnicy, mieszkaliśmy wówczas w sąsiedztwie przejazdu lubelskiego, dziś od dawna jest tam wiadukt nad torami kolejowymi. Rzadko zapuszczałem się w inne regiony i chyba ulica Wąska nie została nigdy wówczas utrwalona przeze mnie na kliszy. Szkoda, choć, jak wcześniej pisałem, niewiele się zmieniła w ciągu tych lat.

Po wybuchu II wojny światowej rodzina Bernarda Gotfryda została wyrzucona ze swojego domu do getta, on sam zaczął pracować w zakładzie fotograficznym przy ulicy Żeromskiego, z getta odprowadzany i przyprowadzany. Nawiązał wówczas kontakty ze zbrojnym podziemiem, przekazując ruchowi oporu niektóre

zdjęcia robione przez Niemców, wywoływane w jego zakładzie. W 1943 r. został aresztowany i przewieziony do hitlerowskiego obozu koncentracyjnego na Majdanku, przeszedł przez sześć obozów, wyzwolenie zastało go w Mauthausen-Gusen w Austrii. Przeżył, przeżyli także jego starszy brat i siostra, ale niemal cała pozostała rodzina zginęła z rąk Niemców. Gotfryd nie wrócił po wojnie do Radomia, wyjechał do Stanów Zjednoczonych, zamieszkał w Nowym Jorku. Całe swoje życie związał z fotografią, od 1957 r. przez ponad 30 lat pracował jako fotoreporter w „Newsweeku”, w 1983 r. redakcja wysłała go do Polski, aby udokumentował drugą pielgrzymkę Jana Pawła II do ojczyzny. Wówczas, 40 lat od wywiezienia przez hitlerowców z Radomia, znalazł się w swoim rodzinnym mieście. Nie spotkał nikogo znajomego, odniósł przygnębiające wrażenie, chyba nie próbował wejść do dawnego mieszkania przy Wąskiej, pojechał jednak pod Radom, na wieś, gdzie jako dziecko spędzał wakacje. Drewnianego domu, w którym wówczas mieszkali, nie było już, ale zrobił zdjęcie tego miejsca, które musiało być dla niego drogie – to raj dzieciństwa. Każdy musi go utracić, ale nie każdemu jest odbierany tak brutalnie i bezwzględnie.

Po powrocie z Radomia do Nowego Yorku nastąpiło odblokowanie pamięci Gotfryda. Znany jest z wielu przypadków ów mechanizm, gdy jakieś szczególne wydarzenie (podróż, spotkanie kogoś, choroba) wytrąca z wieloletniej równowagi, długo niedopuszczającej do głosu wcześniejszych dramatycznych wspomnień, i niespodziewanie nakazuje ujawnić je światu po okresie milczenia. Podobnie zdarzyło się w przypadku scenografa Mariana Kołodzieja, więźnia Auschwitz o trzy cyfrowym numerze, który w hitlerowskim obozie przeżył (cudem) całą niemal wojnę.

Po raz drugi Bernard Gotfryd przyjechał do Radomia na zaproszenie redakcji „Gazety Wyborczej” i prezydenta miasta w maju 2006 r., już jako osoba znana, ceniony fotoreporter

jednego z najbardziej popularnych na świecie magazynów i pisarz. Do tego czasu ukazał się w Stanach Zjednoczonych tom jego autobiograficznych opowiadań *Anton the Dove Faucier and the other Tales of the Holocaust* (pierwsze wydanie – 1990, drugie – 2000). Opowiadania te były nagradzane, przetłumaczone na kilka języków: szwedzki, holenderski, włoski, adaptowane dla potrzeb teatru w Anglii i Danii. W 2005 r. książka Bernarda Gotfryda pt. *Antoni Gołębiarz i inne opowiadania o Holokauście* została opublikowana w Polsce przez Wydawnictwo Dolnośląskie we Wrocławiu. W galerii Awangarda odbyła się również wystawa jego czarno-białych zdjęć pt. „Bernard Gotfryd. Człowiek, który fotografował Amerykę”, przeniesiona następnie do Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu. Tutaj 12 maja 2006 r. odbyło się jej otwarcie z udziałem autora, zaś tego samego dnia przed południem promocja tomu jego opowiadań w Miejskiej Bibliotece Publicznej przy ul. Piłsudskiego.

O wybitnym radomianinie dowiedziałem się niewiele wcześniej, przedtem nigdy o nim nie słyszałem. Tego dnia rozmawiałem z nim krótko w muzeum, przy oknie na parterze domu Gąski, pogodnym późnym popołudniem, i zrobiłem kilka zdjęć podczas wernisażu. Nie wiedziałem, że będzie to jedyna w życiu rozmowa, trwająca kilka, kilkanaście minut. Trudno powiedzieć, dlaczego poczułem w tamtym momencie sympatię do Gotfryda; był w wieku mojego ojca, fotografował najśłynniejszych, amerykańskich i europejskich artystów różnych dziedzin sztuki II połowy XX w., przyglądał się wszystkiemu z uwagą, ale w zamyśleniu, jakby oddalony od otaczającej go rzeczywistości. Ja również byłem wówczas pochłonięty fotografowaniem polskich artystów, przede wszystkim malarzy w ich pracowniach. Czułem silny związek ze starszym panem o podobnych do moich zainteresowaniach, choć zupełnie innym życiorysie. Gotfryd dał mi swoją wizytów-



kę, napisałem potem do niego, zaczęliśmy wymieniać krótkie e-maile, a z okazji świąt (chrześcijańskich) odręczne życzenia przesyłane tradycyjną pocztą. Obaj żalowaliśmy, że w 1983 r. los nie zetknął nas w Radomiu, mogło się przecież zdarzyć, że w tamtym dniu minęliśmy się na ulicy, nic o sobie nie wiedząc, nie rozpoznając się. W tym samym roku 2006 nowojorskie wydawnictwo Riverside Book Company wydało album z fotograficznymi portretami znanych osobistości świata artystycznego i politycznego autorstwa Bernarda Gotfryda pt. „The Intimate Eye”, Gotfryd przesłał mi tę książkę z dedykacją.

Do zajęcia się spisywaniem swoich wspomnień namawiali Bernarda Gotfryda wybitni pisarze i poeci, których odwiedzał jako reporter „Newsweeka”, ci przede wszystkim, którzy bezpośrednio zetknęli się z nazizmem. Był wśród nich Primo Levi, więzień Auschwitz, który przeczytał opowiadanie Gotfryda w angielskim miesięczniku „Midstream”. Wielki poeta W.H. Auden, mieszkający pod koniec życia w Austrii, zauważył u Gotfryda austriacki akcent, było to w 1967 r.; Gotfryd mówił mu obrazowo o swoich przeżyciach. Auden był podobno pierwszym z wielu namawiających go do spisywania tego, co tak sugestywnie potrafi opowiadać. 20 lat później Ryszard Kapuściński spotkał się z Gotfrydem na zjeździe PEN Clubu w Nowym Jorku. Pan Bernard przesłał mi jego fotografię, którą zrobił wówczas, i napisał: „On też namawiał mnie, żebym pisał. Nazajutrz dałem mu kopie dwóch moich opowiadań, które były publikowane w miesięczniku nowojorskim. Bardzo mu się spodobały i powiedział, że będzie czekał na książkę”.

Gdy przez chwilę rozmawialiśmy 10 lat temu w muzeum, byłem zaskoczony, że Bernard Gotfryd mówi po polsku tak dobrze, bez żadnego obcego akcentu, bez naleciałości związanych z używaniem na co dzień innego języka. A jednak wspomnień nie pisał już po polsku. Jego angielskojęzyczny syn Howard na-

pisał we wstępie do pierwszego tomu opowiadań ojca we wrześniu 1989 r.: „Zaczął pisać po angielsku [...]. Oczywiście angielski nie jest jego pierwszym językiem. Nauczył się czytać i pisać po angielsku w wieku dwudziestu trzech albo dwudziestu czterech lat [...]. Jego zamiłowanie do czystości formy i prostoty języka, któremu opowiadania zawdzięczają brak nadmiernego udratyzowania, może pomóc w nawiązaniu kontaktu z czytelnikiem i przyczynić się do lepszego zrozumienia, nie tyle samych okropieństw, ile raczej doznań, odczuwanych przez istotę ludzką [...] wobec znalezienia się w ich centrum”. Możliwe, że ową klarowność formy, unikanie egzaltacji, dramatycznych porównań i wyszukanych metafor, powściągliwość w opisach zdarzeń i sytuacji zawdzięczamy właśnie wyborowi drugiego języka, nieznanego autorowi w czasach niewyobraźalnych okrucieństw, którym on i jego bliscy zostali poddani.

Ale sposób prowadzenia narracji i przedstawiania faktów w opowiadaniach Gotfryda ma swoje podstawy nie tylko w języku. Być może istotniejszym powodem jest, jak mogę się domyślać, przeświadczenie autora o spełnianiu się w każdym ludzkim życiu jego losu dawno zapisanego, na który nie mamy żadnego wpływu (co ma być, to będzie), jakiegoś głębokiego smutek. Nawet poczucie humoru zabarwia odcień melancholii. W tomie *Antoni Gołębiarz* zamieszczone zostało, wśród innych fotografii rodzinnych, zdjęcie syna Howarda z jego synem Eliaszem, wykonane w Nowym Jorku w 1998 r., autorstwa niewątpliwie pana Bernarda. Dziewięcioletni wówczas wnuk uśmiecha się z dziecinną ufnością, w spojrzeniu syna widać gotowość do przeciwstawiania się złemu losowi, choć gest, jakim obejmuje Eliasa, zdradza wrodzony niepokój.

Podczas spotkania w Miejskiej Bibliotece Publicznej 12 maja 2006 r. wspominał Bernard Gotfryd o opowiadaniach, które nigdy jeszcze nie były publikowane, potem stopniowo



Bernard Gotfryd w Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu, 12.05. 2006 r.



przesyłał je do biblioteki. Dwa z nich zamieścił „Miesięcznik Prowincjonalny” na swoich łamach, a w 2008 r. radomska biblioteka wydała dwujęzyczny tom 11 nowych opowiadań pt. *Widuję ich w snach*, pod redakcją Krystyny Kasińskiej. Są tam moje czarno-białe fotografie ulicy Wąskiej i jej najbliższego sąsiedztwa, miejsca, które na pewno pozostały w pamięci Gotfryda. Książka ta otrzymała w następnym roku Nagrodę Literacką Miasta Radomia, ale tym razem autor nie zdecydował się na przyjazd, aby odebrać ją osobiście, lekarz odradził mu daleką podróż. Bernarda Gotfryda reprezentował mieszkający w Warszawie jego kuzyn Michał Szwarz, który, jak się potem okazało, zainteresował Wydawnictwo Dolnośląskie wcześniejszym tomem opowiadań „Antoni Gołębiarz”, a galerię Awangarda – twórczością fotograficzną. Po Wrocławiu i Radomiu wystawa została pokazana jeszcze, również dzięki Michałowi Szwarzowi, w Warszawie, w Mazowieckim Instytucie Kultury przy Elektoralnej, ale nigdzie nie został wydany katalog wystawy. Potem Bernard Gotfryd подарował muzeum w swoim rodzinnym mieście zbiór 61 czarno-białych fotograficznych portretów wybitnych przedstawicieli różnych dziedzin sztuki, z lat 60. i 70.

W sierpniu 2010 r. „Łaźnia” (Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria) zorganizowała nową wystawę fotograficznych portretów pana Bernarda pt. „Francis Bacon i inni. Twarze i postacie na fotografiach Bernarda Gotfryda”. Zdjęcia nadesłał autor pocztą, zaznaczając, że są to nieliczne odbitki, które znalazł jeszcze w swoim domowym archiwum; ogromna większość jego dorobku fotoreportera znajduje się w Bibliotece Kongresu Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie oraz w Getty Images, amerykańskiej agencji prowadzącej bank m.in. zdjęć, z główną siedzibą w Seattle. Udało się wydać wówczas całkiem spory katalog w twardej oprawie, mały album z reprodukcjami zdjęć i arkuszy stykówek ca-

tych klisz, z moim tekstem wstępu i krótkimi notami osób pokazywanych na fotografiach, także w tłumaczeniu na angielski. Wystawę pokazałem również w nieistniejącej już dziś Galerii Krytyków „Pokaz” przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, w otwarciu uczestniczył Michał Szwarz.

To wówczas zaczęliśmy zastanawiać się wspólnie z Bernardem Gotfrydem za pośrednictwem e-maili i z jego kuzynem w Polsce nad publikacją większego wydawnictwa albumowego, wzorowanego na albumie „The Intimate Eye”. Początkowo myślałem o zdjęciach tych samych w większości osób co w tamtej książce, lecz później doszedłem do wniosku, że nasze wydawnictwo powinno mieć inny charakter, pokazać osobistości ważne z perspektywy europejskiej i polskiej, mniej z amerykańskiego punktu widzenia. Panu Bernardowi spodobał się ten pomysł, ale, jak już wspominałem, nie dysponował od dawna swoimi fotografiami, zaproponował, że bym odwiedził go, abyśmy wspólnie zastanowili się nad koncepcją wydawnictwa. Pisał w e-mailach: „Wpadło mi na myśl, czy nie mógłby Pan przyjechać do N. Jorku na parę dni, razem moglibyśmy zająć się projektem książki [...]. Dzisiejsze mrozy u nas przypominają mi stare czasy w Radomiu” (22.01.2011). „[...] byłbym gotów pokryć 50% kosztów podróży. A hotel jest w moim domu” (1.02.2011). „W każdym razie, jeśli ja tu jeszcze będę, to jest Pan zaproszony być moim gościem” (6.03.2011). „[...] byłoby lepiej, gdyby Pan tu był i razem poszłaby szybciej...” (13.03.2011). „Jedynym wyjściem byłoby, gdyby Pan mógł przyjechać do N. Jorku i we dwójkę do tego się zabrać” (26.05.2011). Propozycja była kusząca i ze względu na możliwość spędzenia dłuższego czasu z panem Bernardem, i znalezienia się w miejscu, gdzie nigdy jeszcze nie byłem, w światowej stolicy sztuki. Syn Maciej namawiał mnie do wyjazdu, pokazał mi w internecie zdjęcia ulicy, przy której mieszkał Gotfryd, widziałem wej-

ście do jego domu. Mówił, żartując – jeśli wyładujesz na lotnisku Kennedy’ego i znajdziesz w ogrodzeniu dziurę w odpowiednim miejscu, to piechotą dojdiesz szybko pod ten adres. Ja jednak miałem obawy, czy z moim angielskim ze średniej szkoły – potem bardzo rzadko korzystałem z angielskiego – dam sobie radę w różnych czekających mnie tam sytuacjach. Nie zdecydowałem się na podróż.

Gdy pewnego razu Michał Szwarz leciał do Stanów i miał spotkać się z Bernardem Gotfrydem, dałem mu płytę z aktualnymi fotografiami jego ulicy; pan Bernard odpisał potem: „Dziękuję bardzo za bruk ulicy Wąskiej, który tak dobrze pamiętam. Nawet słyszę dźwięki wozów i głosy chłopów ze wsi obok na jarmarku. Wspomnienia... siedemdziesiąt lat później” (12.04.2013). Ostatni raz Michał Szwarz widział się z kuzynem w końcu stycznia tego roku, odwiedził go w jego domu w Nowym Jorku i zrobił kilka zdjęć, przesłał mi je niedawno. Na jednym z nich widać półkę nad kominkiem, na której ustawione jest ślubne zdjęcie pana Bernarda i jego żony Giny, a obok dyplom prezydenta Radomia przyznający Bernardowi Gotfrydowi medal Bene Merenti Civitas Radomiensis.

\*

Kiedy dotarła do nas wiadomość o śmierci Bernarda Gotfryda, postanowiliśmy poświęcić część przygotowywanego właśnie numeru „Miesięcznika Prowincjonalnego” Jego osobie, wyrazić Wdzięczność za nigdy niewygasłą pamięć o Radomiu i przypomnieć Czytelnikom Jego postać i wybitne dzieło. Agata Morgan, sekretarz redakcji, odpowiedziała mi, że bym umieścił na okładce pisma fotografię Wąskiej, nie musiała namawiać mnie do tego. Ja jednak, o czym Agata także wiedziała, nie mogłem poprzestać na wcześniejszych, już gotowych zdjęciach, które w tym momencie straciły jakby na ważności, aktualności. Musiałem zrobić nowe, zresztą nie po to, żeby koniecznie zrezygnować ze starych. Aby znaleźć to jedno zdjęcie, i to wcale nie nadzwyczajne, a właśnie spr-

wiające wrażenie najzwyczajniejszego w swoim ujęciu tematu, potrzeba wielu zdjęć do wyboru, często niewiele różniących się od tego wybranego do publikacji czy na wystawę. W każdym razie mnie jest to potrzebne.

Chodząc od dawna z fotograficznym aparatem po Radomiu, zdążyłem nabrać pewnych przyzwyczajeń: mam niektóre stałe ujęcia i perspektywy widokowe różnych miejsc, lubię z nich korzystać. Traktuję je jak swoje własne, kiedy zbliżam się tam, sięgam niemal odruchowo do plecaka po aparat. Jest w tym coś z rutyny, to określenie niesie przeważnie ze sobą znak ujemny, zdaje się pejoratywny. Rutyna ułatwia życie i uprawianie sztuki, ale też sprowadza życiowe zajęcia i procesy artystyczne do czynności mechanicznych. Oczywiście, słyszę od razu, jak mój wewnętrzny rozmówca przeciwstawia sobie twórczość i rutynę, ale obaj, on i ja, dobrze wiemy, ile dzieł sztuki zawiera w sobie pierwiastek powtarzalności – pomysłu, ujęcia tematu, rozwiązania formalnego.

Na ulicy Wąskiej też są miejsca, które mnie zatrzymują, gdzie przystaję, by rozejrzeć się wokół. Chodziłem w czerwcu znów w tamtą stronę i robiłem zdjęcia przypominające te wcześniejsze, ale myśl, że Bernard Gotfryd nie żyje, nie pozwala mi na tym poprzestać. Przyglądałem się jego rodzinnemu domowi, zobaczyłem, że boczna ściana budynku z nieczynnym wejściem, do dawnego sklepika zapewne, została na parterze zabazgrana sprejami i zniknęła tabliczka z cyfrą 8, został po niej jaśniejszy ślad na murze. Czekałem na zrobienie zdjęcia, aż młoda kobieta skończy wieszać pranie na sznurkach przed domem, po niebie płynęły białe chmury o niewyraźnych kształtach. Ścieżka prowadząca w tamtym kierunku świeciła barwą piasku, po obu jej stronach kwitły rośliny o niebieskich kwiatach (cykoria podróżnik – usłyszałem potem ich nazwę). W jednym z radomskich opowiadań wydanych przez MBP Bernard Gotfryd napisał: „[...] przy płocie oddzielającym podwórce od przyległego sadu rósł wąski trawnik z kę-



pami polnych kwiatów, na którym łąpałem motyle”. Nie ma tu dziś żadnego płotu ani sadu, ale może stałem właśnie z drugiej strony owego trawnika, gdzie przechowały się przez dziesiątki lat kępy polnych kwiatów, zapamiętane przez Bernarda Gotfryda z dzieciństwa? Jakże może to mieć znaczenie, poza sentymentalnym? Jednak potrzebne nam są chyba jakieś konkretne ślady powiązań z ludźmi bliskimi, jeśli nie ma ich w pobliżu albo odeszli na zawsze, dowody na to, że ich i nasza pamięć przechowuje coś, na co można uzyskać realne potwierdzenie.

**Stanisław Zbigniew Kamiński**  
27 czerwca – 7 lipca 2016 r.

Biorę pod uwagę rozczarowanie kogoś z czytających mój tekst, spodziewającego się, że podam więcej faktów i dat z życia Bernarda Gotfryda. Nie wymienię nagród, które otrzymał, ani nazwisk słynnych ludzi, poza paroma wyjątkami, których, fotografując, miał okazję poznać. Zrobiłem to rozmyślnie, wszystkie te informacje są ogólnie dostępne w internecie, również ja oraz inni autorzy – Roman Loth, Agata Morgan i Mieczysław Szewczuk – podawaliśmy je, pisząc o Bernardzie Gotfrydzie w „Miesięczniku Prowincjonalnym” w poprzednich latach (MP nr 2/101 – 2007 r.; nr 3/102 – 2007; nr 5/110 – 2008; nr 1/112 – 2009; nr 4/139 – 2013). Dostępny jest jeszcze w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Radomiu tom opowiadań Gotfryda *Widuję ich w snach*, z notą biograficzną Autora.

## Przyzwoity pogrzeb

Bernard Gotfryd

Gorące i duszne popołudnie. Bezruch. Na potężnych gałęziach wysokich dębów liście nawet nie drgną. Park prawie pusty, nie licząc kilku starszków drzemących na rozkładanych krzesłach lub z rozłożonymi na kolanach gazetami gapiących się w przestrzeń, zatopionych w marzeniach. Ich nagie ramiona, oplecione nabrzmiałymi żyłami i pokryte brązowymi wątrobowymi plamami luźno zwisają po bokach, niczym martwe konary drzew. Nieco z lewej dwaj ciężko dyszący starsi mężczyźni w zmiętych koszulkach polo i wysłużonych czapkach bejsbolówkach grają w szachy przy betonowym stoliku.

Ciszę przerywa nagłe trzepotanie skrzydeł gołębi czymś zaniepokojonych i zrywających się do lotu. Na najniższej gałęzi dębu siedzi samotna wiewiórka, z jej otwartego pyszczka dobiega ciche syczenie. Od czasu do czasu zbiega na ziemię i długimi, cienkimi łapkami kopie w pośpiechu niewielki dołek. Z byle powodu wraca, niczym strzała, na drzewo i machając puszystym ogonem, znów zaczyna syczeć.

Nieoczekiwanie pojawia się młoda kobieta z wózkem, w którym śpi dziecko. Sprawia wrażenie podenerwowanej, czymś przestraszanej, jakby uciekała przed nadciągającym niebezpieczeństwem. Dziecko, mokre od potu, ma przyklejony do czoła cienki, wilgotny kosmyk blond włosów. Wielka, błyszcząca mucha krąży wokół jego twarzy, ale najwyraźniej nie przeszkadza to ani dziecku, ani jego opiekunce. Nagle kobieta zauważa śpiącego pod drzewem starszego mężczyznę i kieruje wózek w przeciwną stronę. Jednakże skrzywienie kół już go obudziło.

Mężczyzna powoli otwiera oczy, mrugając od nadmiaru światła, jego twarz rozjaśnia się, gdy dostrzeże kobietę popychającą wózek. Ta zatrzymuje się na moment i woła: „Cześć Sam, co słychać?”, i nie czekając na odpowiedź, oddala się wraz ze skrzypiącym wózkiem. Stary człowiek zachowuje się tak, jakby jej nie usłyszał. Siada, wspierając się na prawym łokciu, a lewą ręką sięga do jednej ze stojących obok plastikowych reklamówek. Wyjmuje mały ręcznik i wyciera spoconą twarz. Cały jego dobytek mieści się w tych dwóch foliowych torbach na zakupy.

Jak na bezdomnego Sam wygląda raczej schludnie i wydaje się być w niezłej formie. Ma przystojną twarz, błękitne oczy w odcieniu wody, a jego tysią głowę pokrywa ciemnobrązowa opalenizna. Gdy się uśmiecha, można zauważyć, że ma tylko kilka zębów, a i te są poplamione, połamane i chybotałki, jakby za chwilę miały wypaść. Nigdy nie miał wystarczających funduszy, by o nie zadbać. Trzeba mieć stałe dochody i dostęp do opieki dentystycznej, na to nie było go stać. Gdy ząb zaczynał mu dokuczać, ruszał nim dotąd, aż wypadł. Nie stanowiło to dla niego większego problemu, poza chwilami, gdy musiał gryźć czerstwy chleb. W końcu nauczył się z tym żyć.

Teraz wstaje z ciężkim westchnieniem. Odpina wysłużony pasek od spodni, wpuszczając do środka końce koszuli. Gdy próbuje ponownie zapiąć sprzączkę, pasek przerywa się. Usiłuje go naprawić, jednak bez rezultatu. Wydaje się być tym zirytowany, w końcu poddaje się i związuje pasek na supeł. Wówczas opiera się o drzewo i wsłuchuje w odgłosy dobiegające z sąsiedniej ulicy.

Mieszkający w sąsiedztwie Nathan, dobrze zbudowany i wciąż dość przystojny mężczyzna w średnim wieku, poznał Sama kilka miesięcy wcześniej, podczas jednej ze swoich wieczornych wypraw do parku, na które wybierał się, chcąc uniknąć kłótni z żoną. Gdy pewnego dnia podjął decyzję, że musi coś zrobić ze swoim małżeństwem, park stał się jego azylem. Choć nie chciał odejść od żony, czuł, że musi podjąć jakieś działania. Nie miał jednak pewności, co mógłby, czy co byłby w stanie zrobić. Nie brał pod uwagę rozwodu, mieli dwoje dorastających dzieci. Co powiedzieliby na to krewni i sąsiedzi? Nathan nie był pozbawiony sumienia, jednak jak długo mógł znieść takie poniżanie? Przy każdej nadarzającej się okazji żona wypominała mu brak sukcesów w pracy i marne widoki na przyszłość. Nie miał szans na żaden awans czy podwyżkę. W jej oczach był nieudacznikiem. Wciąż przypominała, jak świetnie radzą sobie ich sąsiedzi i kuzyni, wyliczając, kto kupił sobie drogi samochód, a kto nowy dom.

Szczerze mówiąc, Nathan nie chciał tracić czasu na rozmowy z ludźmi, których jedynym celem było gromadzenie dóbr materialnych. Miał niewiele wspólnego z takimi osobami. Inaczej patrzył na życie. Zawsze ciężko pracował, rzadko brał urlop, a wszystkie wolne chwile poświęcał na naprawę ich starego, zmurszałego i wydzielającego zapach pleśni domu. Dom wymagał ciągłej troski, niczym śmiertelnie chory człowiek.

Były jeszcze dzieci. Takie miłe w dzieciństwie, teraz stały się nieokazującymi szacunku, źle wychowanymi nastolatkami. Oczywiście, on także był za to odpowiedzialny – był ich ojcem. Jednak był pewien, że nigdy nie uczył ich braku szacunku i złych manier. Nie mógł też winić szkoły, z pewnością jednak mógł i winił za to żonę. W końcu to ona spędzała z dziećmi większość czasu, ale czy kiedykolwiek mogłaby uznać swój błąd? Za wszelkie złe rzeczy wołała winić jego rodzinę.

– Dlaczego to moja rodzina jest temu winna? – pytał Nathan

– Ponieważ nikt z mojej rodziny nie zrobił nigdy nic złego. To wyjątkowi ludzie – odpowiadała. – Czyż mój pradziadek nie był słynnym talmudystą? – lubiła mu często o tym przypominać.

Początkowo Nathan był bardzo wyrozumiały, gotowy przyznać, że nikt nie jest doskonały, a już w żadnym razie on. Każdy ma jakieś wady. Czasami winił samego siebie i swoje pochodzenie z pro-



stej, niewykształconej rodziny. Zastanawiał się, czy mogło to być powodem ich ciągłych nieporozumień i kłótni? Pochodził z małego miasteczka w Galicji, w którym nikt nie chodził do szkoły średniej, bo takiej szkoły tam nie było. Dobrze, że istniała szkoła podstawowa, w której dzieci uczyły się na dwie zmiany, i przepiękny cheder – żydowska szkoła religijna z na wpół obłąkanym nauczycielem, który nawet na chwilę nie rozstawał się z batem.

Najbardziej irytowała go hipokryzja żony. Miała bardzo niewiele wyrozumiałości dla ludzi, żywiła też mnóstwo różnych uprzedzeń, a jednocześnie oczekiwała tolerancji dla wszystkich swoich wybryków. Nie mógł znieść jej obecności, jeszcze gorzej działało się w towarzystwie dzieci. Kwestionowała jego wiarygodność, podważała autorytet, aż w końcu czuł się zupełnie bezwartościowy. Jak mógł na to pozwolić? Miał wrażenie, że cały świat zwraca się przeciwko niemu.

Był jeszcze jej brat. Uważał się za lepszego od innych, zjawiał się u nich bez uprzedzenia i bez pytania korzystał z różnych domowych przedmiotów. Nastawił przeciwko niemu jego własne dzieci i obgadywał go za plecami. Czyż i bez niego nie mieli wystarczająco dużo problemów? Nathan próbował dać mu do zrozumienia, jak bardzo jest niezadowolony i zatrzymywał się ledwie o krok od obrażenia go, ale tamten nie rozumiał aluzji. Prawdą jest, że Nathan nie zawsze był dla niego miły, ale jak można być miłym dla wiecznego krytykanta i mściciela?

Sam był dobrym słuchaczem, kimś, z kim Nathan mógłby porozmawiać. Przypominał mu trochę nieżyjącego już ojca, co sprawiało mu pewną przyjemność. Kiedy po raz pierwszy spojrział na Sama, uświadomił sobie, że jest trochę prawdy w twierdzeniu, że każdy człowiek ma swojego sobowtóra.

Żona wyjechała z dziećmi, więc Nathan mógł spędzać w parku więcej czasu. Pewnego wieczoru zabrał ulubiony gazowany napój Sama i poszedł do parku, by się z nim spotkać. Sam siedział pod drzewem z ręcznikiem owiniętym wokół szyi.

– Cześć Sam, jak się masz? – Nathan przywitał się, podając mu schłodzoną puszkę z picciem.

– Pewnie czułbym się lepiej, gdyby nie ten upał – odpowiedział Sam. – I dzięki za paczkę żywnościową. To miły gest, jesteś dobrym człowiekiem, naprawdę to doceniam.

– To nic takiego – wymamrotał Nathan.

– Wiesz, okropnie duszno, ciągle chce mi się spać – powiedział Sam, próbując się podnieść.

Nathan był zaintrygowany i zainteresowany samotniczym życiem Sama. Długo usiłował się czegoś dowiedzieć, ale z jakiegoś powodu nie znajdował w sobie dość odwagi, by zapytać. To bez sensu, by ten starszy, łagodny człowiek mieszkał samotnie w parku. Nathan nie mógł zrozumieć, dlaczego człowiek w jego wieku miał tak samotne i trudne życie.

– Sam, nie bierz mi za złe tego pytania, ale czy mógłbyś mi powiedzieć, dlaczego ciągle jesteś tutaj... w parku... sam? – wybąkał z wahaniem Nathan.

Sam spojrział w górę na ciemniejące niebo, jego oczy nagle zwiłgotniały, ale odpowiedział: – W żadnym razie nie mam ci tego za złe i powiem, dlaczego tak jest. Będę mówił krótko, bo jak wiesz – nie jestem dobrym mówcą.

– Kiedyś, wiele lat temu, byłem żonaty, miałem rodzinę, pracę i całkiem niezłe życie. Mieliśmy własny dom, samochód i większość tych rzeczy, które zwykle chce się mieć. Trwało to kilka lat, aż pewnego dnia mojej żonie przewróciło się w głowie. Uznała, że nie radzę sobie wystarczająco dobrze, że powinniśmy mieć lepsze życie – większy dom, więcej tego i tamtego. Ciągle narzekała, sama nie wiedziała, czego jeszcze chce. Niektórym naszym sąsiadom lepiej się powodziło, mogli sobie pozwolić na więcej od nas – wakacje w Las Vegas, dwa samochody i po dwa komplety innych rzeczy.

– Uznała, że jestem nieudacznikiem, a w dodatku nastawiła dzieci przeciwko mnie. Szybko straciłem dawny entuzjazm i chęć do życia. Bardzo kochałem dzieci, mógłbym zrobić dla nich wszystko, ale wspólne przebywanie w domu stało się nie do zniesienia. Nie było dnia bez awantury. Pewnego razu spakowałem się i odszedłem. Nie wiedziałem, dokąd mam pójść, ani co robić dalej. Chciałem tylko być jak najdalej od niej. Krótco potem rozpoczęła się druga wojna światowa i zaciągnąłem się do marynarki handlowej. Gdy wojna się skończyła, zostałem w marynarce i przez wiele lat pływałem na statkach. Pisałem listy do żony i do dzieci, ale nigdy nie dostałem odpowiedzi.

Gdy po dwudziestu latach zakończyłem pracę w marynarce, próbowałem odnaleźć rodzinę, szukałem wszędzie, ale bez powodzenia. Zniknęli. Naprawdę za nimi tęskniłem i bardzo chciałem się z nimi zobaczyć. Z plotek dowiedziałem się, że żona wyszła za swojego ukochanego z młodości i wyjechała, choć nie mieliśmy rozwodu. Miałem nadzieję, że uda mi się odnaleźć jakichś przyjaciół z przeszłości, ale nie rozpoznawali mnie albo nie chcieli mieć ze mną nic wspólnego. Nasi dawni sąsiedzi gdzieś się wynieśli. Niektórzy się przeprowadzili, inni zmarli. Moi rodzice adopcyjni też już nie żyli, nie miałem żadnego rodzeństwa. Byłem sam.

Potem pojawiły się też inne kłopoty – operacja, rachunki za szpital, problemy zdrowotne. Wydałem wszystkie oszczędności. Więc pewnego dnia wybrałem taką drogę. Teraz jestem już stary i nie mam zdrowia. Trudno jest być samemu. Nikt się nie dowie, gdy mi się coś stanie. Nie będę miał nawet przyzwoitego pogrzebu, co nie daje mi spokoju. A zresztą – kto miałby przyjść na mój pogrzeb?

Nathan poczuł się poruszony opowieścią Sama. Bardzo mu współczuł i zastanawiał się, jak mógłby pomóc. Postanowił zaprosić go do siebie na jakiś czas, w końcu rodzina była na wakacjach. Nathan miał na poddaszu wolny pokój gościnny z własną łazienką. Sam miałby dach nad głową, wygodne życie, nawet jeśli na krótko, tylko do czasu powrotu rodziny z wakacji.

– Sam, czy nie chciałbyś pomieszkać u mnie, dopóki moja rodzina jest na wakacjach? – zapytał Nathan. – Mam wolny pokój.

Sam spojrział na niego z niedowierzaniem. Po chwili zastanowienia powiedział: – Dlaczego chcesz mnie gościć w swoim domu, co by to dało? Byłbym dla ciebie ciężarem. Przywykłem do życia na zewnątrz, nie wiem, czy umiałbym zasnąć, leżąc w łóżku. Wygodnie mi tu. Miejsca mam dosyć, więcej niż potrzebuję. Zanim zasnę, patrzę na gwiazdy i księżyc, jeśli niebo jest bezchmurne, a gdy pada, przykrywam się folią. Lubię odgłos kropel uderzających o folię, przypomina mi to czasy, gdy byłem harcerzem, nasze biwaki, spanie w namiotach. Także później, zanim się ożeniłem, lubiłem spać na dworze w rozkładanym namiocie. Dobrze mi tu, a teraz, gdy znalazłem przyjaciela, nie oczekuję niczego więcej. Obiecuj mi tylko, że gdy umrę, dopilnujesz, bym miał przyzwoity pogrzeb. Wykupiłem już miejsce na cmentarzu, niedaleko stąd. Nie proszę cię o jałmużnę, nigdy nie prosiłem. Mam niewielką emeryturę, która pokryje wszelkie wydatki związane z pogrzebem.

Nathan nie wiedział, co powiedzieć, nic nie przychodziło mu na myśl. Skinął tylko głową, by dać Samowi znać, że się zgadza.

Wróciły wspomnienia sprzed wielu lat, z czasów wojny, gdy Niemcy zabierali ojca do obozu koncentracyjnego. Ojciec z pewnością nie miał przyzwoitego pogrzebu w obozie śmierci, więc prośba Sama w jakiś niezrozumiały sposób dawała mu poczucie, jakby spełniał życzenie własnego ojca. Sam w pewnym sensie go przypominał, nikt, kto znał ojca Nathana, nie mógłby temu zaprzeczyć. Po raz pierwszy Nathan miał poczucie winy, gdy myślał o ojcu.

Rozmawiali do późnej nocy. Nathan opowiedział mu o swoich doświadczeniach z młodości, gdy jako młody chłopak żył pod okupacją niemiecką, i o tym, jak stracił całą rodzinę. Sam słuchał z uwagą, ale widać było, że trudno jest mu uwierzyć. Nie mógł sobie wyobrazić, że takie okrucieństwa są



w ogóle możliwe, nie miał pewności, czy Nathan przypadkiem nie przesadza. Dawno temu czytał o nazistach w gazetach, ale niewiele z tego zapamiętał. Jednak musi być w tym opowiadaniu trochę prawdy – myślał. – Niemożliwe, by Nathan wymyślił historię o masowych mordach.

Po powrocie do domu Nathan nie mógł usnąć, zastanawiając się nad wszystkim, co usłyszał od Sama. Rozmyślał też o własnym życiu, próbując wyobrazić sobie, że znajduje się na jego miejscu. Z nieznanых powodów dokuczała mu świadomość złożonej Samowi obietnicy przyzwoitego pogrzebu. Odpychała go i raziła już sama myśl o śmierci. Zastanawiał się, dlaczego tak jest. Czyż nie napatrzył się na tysiące ludzi umierających w obozach koncentracyjnych, czyż nie przenosił niezliczonych ciał więźniów, którzy udusili się w bydłowych wagonach podczas transportu z jednego obozu do drugiego? W końcu takie doświadczenia powinny przyzwyczaić go do śmierci i do umierania. Czuł jednak wstręt i obrzydzenie.

Przez dłuższy czas Nathan rozważał wizytę u psychologa, niedawno ktoś znajomy mówił mu o człowieku, który przeżył Holokaust i któremu, po nieudanej próbie samobójczej, bardzo pomógł psycholog. Nathan nie wierzył, by ktokolwiek mógł pomóc osobie, która planuje samobójstwo – on sam nigdy nie brał pod uwagę odebrania sobie życia. Jednak od czasu do czasu ogarniała go i nie chciała opuścić przez wiele dni wewnętrzna rozpacz. W końcu pozostawiała go z uczuciem paniki i przedłużającymi się stanami depresyjnymi. Nie odrzucając pomysłu zasięgnięcia porady u psychologa, postanowił z tym poczekać. Kiedy nadejdzie właściwy czas – tak sobie obiecał. Jednak wątpliwości i sprzeczne uczucia nie chciały go opuścić.

Niebawem cała rodzina wróciła z wakacji, a wraz z nimi codzienna rutyna. Spodziewali się wizyty ciotki żony, więc Nathan zaczął porządkować pokój gościnny na poddaszu. Okazało się, że brakuje rolety w oknie, przyniósł więc drabinę. Musiał zemdleć, stojąc na niej, gdyż stracił równowagę, spadł i uderzył głową o beton. Wpadł w śpiączkę. Jak dowiedziała się jego żona, miał nikłe szanse na odzyskanie przytomności. Lekarze prognozowali, że w najlepszym razie będzie jak warzywo, nie odzyska już świadomości.

Upłynęło trochę czasu, zanim Sam zaczął się niepokoić zniknięciem Nathana, który zwykle pojawiał się w parku przynajmniej raz w tygodniu. Domyślał się, że coś musiało się wydarzyć, ale nie miał skąd się dowiedzieć, co mogło się stać. Nie znał adresu Nathana ani nawet jego nazwiska. Tego dnia postanowił kupić trochę jedzenia w pobliskim sklepie spożywczym. Sprzedawca znał go i czasami pomagał mu zdjąć z półki towary, których Sam nie mógł dosięgnąć, gdyż reumatyzm nie pozwalał mu ma podnoszenie rąk na taką wysokość.

W sklepie było zaledwie kilka osób. Sprzedawca siedział przy kasie, popijając kawę z plastikowego kubka. W kolejce do kasy Sam usłyszał, jak stojąca przed nim kobieta opowiada sprzedawcy o wypadku Nathana. To musi być jego żona – pomyślał. Gdy tylko kobieta odeszła od kasy, bez wahania zapytał o niego.

– Tak, jestem jego żoną – odpowiedziała. – A kim pan jest? Czy my się znamy? Jest pan jego kolegą? – wypytywała nerwowo. – Nathan miał wypadek, spadł z drabiny i jest teraz w szpitalu.

Wyglądała na bardzo zmęczoną, jakby nie spała całą noc, miała wyraźne cienie pod oczami. Jej przedwcześnie pomarszczona twarz zdradzała nałogowego palacza, skóra miała żółtoszary odcień. Była w zwykłym, codziennym ubraniu, na jej prawym ramieniu wisiła brązowa, skórzana torebka, na pasku widać było mnóstwo drobnych pęknięć.

Sam był zszokowany. Opowiedział jej, jak w parku poznał Nathana i jak, z czasem, zaprzyjaźnili się. Zapytał, czy mógłby go odwiedzić w szpitalu lub wysłać kartkę z życzeniami. Słuchała go ze

smutkiem. Wyjęła długopis i na skrawku brązowego papieru, który Sam znalazł w kieszeni, zapisała mu adres szpitala.

– Muszę pana uprzedzić, że Nathan jest w śpiączce – powiedziała, wydmuchując dym z papierosa.

– W takiej sytuacji chyba nie ma sensu, żebym go odwiedzał – powiedział Sam.

– Raczej nie – odparła i wyszła ze sklepu, nie mówiąc nic więcej.

Sam stał jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, co robić. Skierował się w stronę sklepu papierniczego, kilka przecznic dalej. Wyśle kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia, przynajmniej tyle mogę dla niego zrobić – myślał.

Przed oczami stanęło mu jego własne życie, pełne pechowych zdarzeń, błędnych decyzji i strat. Uświadomił sobie, że w jakiś niewytłumaczalny sposób jego życie było podobne do życia Nathana. Jak przez mgłę zobaczył siebie i swoją rodzinę sprzed wielu lat, silniej niż zwykle poczuł smutek i zaczął płakać.

Był już niedaleko sklepu z kartkami, gdy zauważył ciemniejące niebo. Zagrzmiało. Zawrócił szybko i skierował się w stronę parku. Dwie wypełnione reklamówki spowalniały go trochę, ale spieszył się, by nie stracić odgłosu spadających kropeł i dawnego uczucia, że znów jest na biwaku. Znalazł swoje ulubione miejsce pod dębem i wygodnie się ułożył, przykryty folią. Deszcz stał się mniej gwałtowny i Sam szybko zasnął.

Obudził go ból, pomyślał, że to pewnie z głodu. Wokół było ciemno, park opustoszał. Słyszał odgłosy klaksonów dobiegające z sąsiedniej ulicy i delikatny szum liści poruszanych łagodnym wiatrem. Nagle poczuł doskwierającą samotność i ukłucie bólu w piersiach, jakby wbijała się w nie cienka igła. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczył, przestraszyło go to. Pamiętał jakąś zastysznaną poradę, że przy bólu w piersiach lepiej się nie ruszać.

Wczesny słoneczny poranek, zapowiada się upalny dzień. Dozorca parku dostrzega Sama leżącego pod wysokim dębem. Wydaje mu się dziwne, że jest nadal cały przykryty folią, choć dzień wstaje piękny. Gdy próbuje go obudzić, widzi, że Sam nie żyje. Idzie do budki telefonicznej za bramą parku, by zawiadomić policję.

Tego ranka, jak co dzień, parę osób z sąsiedztwa szuka w parku cienia i kąmni gołębie. Przed odjazdem karetki z ciałem Sama pojawia się też młoda kobieta z zaniepokojonym wyrazem twarzy, popychając swój piszczący dziecinny wózek. Killkoro hałaśliwych dzieci próbuje złapać wiewiórkę, a dwóch starszych facetów w pogniecionych koszulkach polo ucina sobie drzemkę przy betonowym stoliku szachowym. Nawet syrena odjeżdżającej karetki nie może ich obudzić.

*Tłumaczyła Agata Morgan*



## I dobrze

Grzegorz Sasin

Suzu mknie na rowerze w rozkwitającą wiosnę. Mknie przez tunel kwitnących wiśni.

Suzu biegnie z piłką przy nodze, jeden zwód, drugi, kiwka i go!!!!

Suzu ma 13 lat, jest młodszą siostrą, jedną z bohaterek filmu „Nasza młodszą siostrą” Hirokazu Korēdy. Sachi, Yoshino, Chika i Suzu: siostry. Pielęgniarka, pracownica banku, ekspedientka w sklepie z obuwem i uczennica. Młode dziewczyny mieszkające razem w rodzinnym domu w starej dzielnicy Kamakury. Trzy siostry, które spotkały młodszą na pogrzebie swojego ojca. Suzu jest z drugiego małżeństwa ojca, a mieszka z jego trzecią żoną, w której domu źle się czuje, więc z entuzjazmem przyjmuje zaproszenie swych przyrodnich siostr, żeby zamieszkała z nimi w starym domu rodzinnym, stojącym w dzikim ogrodzie, nad którym góruje jeszcze starsze drzewo śliwy. Korēda wnikliwie i z czułością obserwuje relacje między siostrami, ich drobne sprzeczki, pogodzenia, małe zdarzenia, delektacje kulinarne, komplikacje uczuciowe z cudaczny czasem mężczyznanami, którzy zresztą nazywają dom siostr żeńskim akademikiem. Ale siostry radzą sobie z życiem, ekscytują drobnymi radościami chwili. Łączy je i miłość, i przyjaźń – i otwartość na świat. Ten obecny i ten miniony. Ich więź wynika tyleż z codziennych rytuałów, co z ewokacji minionego,

gdy jak co roku zbierają śliwki, żeby wyklarować z ich owoców wino. Ich egzystencję kształtuje otaczająca przyroda, inni ludzie, smakowanie potraw i napojów – kształtuje je uroda codzienności. Spoiwem zaś jest dom, który nie jest przestrzenią zamkniętą, bo każda z siostr wnosi weń siebie, świat spoza domu. Jest to przestrzeń nieograniczona, otwarta; w przeciwieństwie do miejsca, w którym dane było żyć w X w. Murasaki Shikibu, szukającej ucieczki w opisach przygód księcia Genji, w zapiskach *Dziennika damy dworu*. Ucieczką siostr są próby ułożenia sobie życia, uchwycenia jego istoty, która być może jest chwilą euforii, gdy Suzu mknie wśród kwitnących wiśni, strzela gola. Euforią chwili, gdy nad Kamakurą wykwitają fajerwerki, a ekstatyczne piękno wybuchów łączy się z pięknem ciszy poranka.

To jest jednak Japonia. To jest jednak inna kultura. Inna mentalność, inna estetyka. I być może moje odczucia są nieprzystawalne do świata przedstawionego w filmie. Być może czegoś nie rozumiem, bo afirmacja codzienności, jaką daje w swym filmie Korēda, jest afirmacją wynikającą z ducha buddyźmu, zwłaszcza w końcowych kadrach, gdy siostry spacerują po plaży i zastanawiają się, jak ta plaża będzie wyglądać za lat 50, jak one będą wyglądać, zachowywać się. Jak będzie wyglądać ta plaża, gdy ich już

nie będzie... Może nie rozumiem do końca, niemniej opis szczęścia i nieszczęścia, burzy i pogody, życia i śmierci ma raczej wymiar uniwersalny. Nie sądzę więc, że japońska mentalność, japońska estetyka są tak odległe od europejskiego odczuwania świata jak Ziemia od gwiazd, które już umarły, a wciąż świecą.

To wrażenie, że jednak film japoński może przemówić do mojej wrażliwości, potwierdził kilkanaście dni później inny seans filmowy, podczas którego obejrzałem filmowy przekład *Kosmosu* Gombrowicza. Andrzej Żuławski, reżyser filmu, jest pierwszym filmowcem, który chyba pojął, na czym polega Gombrowicz. Zrobił ten film, by zrozumieć powieść. I zrozumiał, bo ujawnił tajemnicę tego utworu, czyli odkrył pytanie pisarza do siebie i świata: Co ja tu robię, co robią inni wokół mnie? Tu na ziemi... I tym samym (tj. tym filmem) reżyser odpowiedział sobie na to właśnie pytanie – ja filmuję! I z tą odpowiedzią pozostawił świat: to jego testament. Tak jak Gombrowicz zostawił jako testament powieść *Kosmos*, po napisaniu której też mógł sobie odpowiedzieć: ja piszę!

Tak samo Hirokazu Korēda: filmuję i kontempluję wraz z moimi bohaterkami ten cud, którego nie dostrzegamy, czyli życie. Cud pełen komplikacji, które można rozwiązać, a przynajmniej wysupłać się z nich. Przypadkiem zdarza się śmierć ojca, i przypadkiem spotykają się starsze siostry z młodszą, i przypadkiem nawiązuje się między nimi więź – i przypadkiem jedna komplikacja tworzy drugą. Życie i tak toczy się dalej. Podobnie jak w innym filmie Korēdy „Jak ojciec i syn”, w którym komplikacja jest jeszcze większa, jak w jakiejś komedii pomyłek: dwie pary dowiadują się, że na skutek pomyłki w szpitalu wychowały nie swoje dzieci. I w jednym i w drugim filmie mamy opowieść o uczeniu, dowiadywaniu się, czym jest ludzka egzystencja, jak człowiek łączy i rozdziela się z człowiekiem, jak przybliży się i oddala od świata. Jak u Gombrowicza, gdzie też u początku narracji jest komplikacja: wróbel wisi na gałęzi. A Wi-

told idzie przez las w rytm deklamacji wersów „Boskiej Komedii”, będących ironicznym kontrpunktem do uzurpacji poetów do przewodzenia światu, co kwestionował sam Gombrowicz, a za nim Żuławski, Korēda i jego mistrz Yasujiro Ozu, bo z ostatniego utworu pisarza, ostatniego filmu reżysera i wizji świata japońskich artystów wynika, że istniejemy, gdyż jesteśmy częścią urody życia, częścią codzienności, która składa się z radości i bólu, smaku i niesmaku, składa się z czterech siostr, każda inna, ale wyrysowana jedną kreską, jak na palecie Hokusai czy Utamaro. Są jako jednostki i jako całość, bo inność łączy je w jednym rysunku, pociągnięciu pędzla. Jak Witolda z Fuksem i szurniętą rodziną, u której obaj wynajmują pokój. I nie ma co wydziwiać! Smakować trzeba! Jak filmowe siostry. Prawdziwie smakować wszelkie potrawy i napoje, z tymi achami, z tymi ochami, jakie to smaczne... Rzdokiewkę z jogurtem smakować... Korēda, Gombrowicz, Żuławski zalecają nam degustację życia i sztuki, i vice versa.

„Nasza młodszą siostrą” to zupełnie niezwykły film o niczym, czyli o życiu tu i teraz – wśród przygód kulinarno-erotyczno-rodziny. Mistrz Ozu to dawna Japonia, Hirokazu Korēda to... też dawna Japonia, chociaż jak najbardziej współczesna. Współczesna tonem czułości, wybaczenia, tolerancji – i żywotności tych młodych kobiet, dziewcząt, których portrety tak intymnie, czule, powabnie kreśli japoński reżyser. Jest tu ta niezwykła japońska umiejętność oddawania uroków codzienności, tego co zwykłe, ale niezwykłe. (To samo może ostatnio wychwycić czytelnik opowiadań i powieści bardzo popularnego Harukiego Murakamiego). Niepewne, czasem drastyczne, czasem nadwrażliwe, ale pełne pogody, pogodzenia się z życiem i śmiercią. Z tym, co nas otacza, z rytuałem codzienności. Bo jak to leci w „Kosmosie”? Bardzo prosto: „Dziś na obiad była potrawka z kury”.

I dobrze.

Grzegorz Sasin



# Wigor (Andrzej Żuławski 1940–2016)

Grzegorz Sasin

**H**rabina Czosnowska krzyczy: „Bankiet geniuszy!”, a tu korowód chaosu, powietrze drga niczym na obrazach impresjonistów. Chopin gra, a oni chodzą. Biegają w poszukiwaniu siebie. Istoty muzyki? Geniuszu? „Błękitna nuta” to opowieść o metodzie tworzenia. O Chopinie, który już widzi się u stacji końcowej, na której wysiądzie, by odejść w dal... Ale pozostawi muzykę, ten specyficzny ton, tę nutę na pięciolinii świata, kiedy to świat milknie, bo Chopin zaczyna grać. Jego muzyka zaczyna grać. Właśnie w „Błękitnej nucie” najlepiej gra muzyka i Janusz Olejniczak – jest jak by nad ekranem, nad aktorami, w poszukiwaniu tej jedynej, niepowtarzalnej błękitnej nuty.

W poszukiwaniu...

Na czym polega fenomen Chopina? Na czym polega muzyka? Na czym polega kino?

Andrzej Żuławski: „Te filmy, które reżyserzy dobrze rozumieją, zanim jeszcze powstaną, są najmniej interesujące w historii kina” („Gazeta Wyborcza”, 20.02.2015, rozmawia Tadeusz Sobolewski).

Bo nie szukają. Bo nie męczą ich pytania o sens. Sens wszystkiego. Jak niepokoiło to w „Błękitnej nucie” Solange, która szukała w sobie iskry twórczej poprzez miłość do Chopina, kiedy reszta towarzystwa uciekała jak najdalej w piwnice swych złudzeń. Inaczej niż Solange. Inaczej niż wszystkie kobiety w filmach Andrzeja Żuławskiego. Bo to kobieta była dla reżysera wskazówką, jego Amfitrionem. Przecież Żuławski był za zmysłowym, cielesnym oglądem świata, który tylko tak da się wytłumaczyć. A tym medium może być (a raczej musi być) kobieta, bo kobieta to rzeczywistość, zmysły. To konkret. Kobieta wie, czego chce; takie są właśnie bohaterki w jego filmach. Takie pełnowymiarowe, fascynujące.

Migotliwe, pełne werwy, jedyne: Małgorzata Braunek, Romy Schneider, Isabelle Adjani, Valérie Kaprisky, Sophie Marceau – albo Iwona Perty. One są znakiem urody świata: erotyzmu i zachłanności życia. A życie to także kino, ale tylko to pełne wigoru, wściekłości, ekscytacji szaleństwem świata, czego nie ma Hollywood, ale ma Żuławski. Żywioł, erotyzm, zmysłowość, nasycenie kadru pulsowaniem życia. Sztuką i kiczem.

Kicz – bo życie bywa kiczem.

Sztuka – bo sztuka jest życiem.

Poruszyć widza. Wzbudzić w nim uczucie, rozjaśnić myśl, wprawić nerwy w drżenie, podrażnić zmysły, aby widz też był w filmie. Jako dodatkowy element scen, sekwencji, dekoracji – obrazu spełnienia.

Bo kinem Żuławskiego rządzi nadekspresja. Chaos, ale pozorny chaos, bo opanowany przez maestrię reżyserii, ekwilibrystykę montażu. Przez „żuławskizm”, jak to nazwali krytycy francuscy, być może za Viscontim, który po obejrzeniu „Najważniejsze to kochać” był bardzo poruszony, jakby ujrzał siebie w latach młodości, jakby nastąpiła jedyna możliwa reinkarnacja: jednego artysty w drugiego.

Albo jakby zobaczył to, co w kinie jest najistotniejsze: film zawsze dzieje się w tej chwili. W chwili, gdy Visconti ogląda film Żuławskiego. To jest właśnie to, co Karol Rzyski nazwał „reprezentatywnością kina”. Jego tajemnicą, podobną do Hamleta, gdy ten mówi: strzeż się mnie, nie wiesz kim jestem, jak niebezpiecznym jestem...

Niebezpiecznym, czyli, jak mówił o sobie Żuławski, że on jest ten krnąbrny. Ten, który ma zawsze własne zdanie. Jest poszukiwaczem, podróżnikiem życia przez kino, jego kino. A filmy robił po swojemu. Miał własne, niepowtarzalne

„copyright”. Od samego początku, tj. od „Trzeciej części nocy”. Bohater tego filmu karmi własną krwią wszy podczas niemieckiej okupacji, we Lwowie, w instytucie profesora Weigla. Film od pierwszego ujęcia jest szalony, rytmiczny jak uderzenie „Rolling Stonesów”, poprzez nadmiar symboliki, okrucieństwo, „wariactwo” kamery, by odnaleźć ekwiwalent... właśnie, okupacji hitlerowskiej, samego siebie (reżyser urodził się w listopadzie 1940 r. we Lwowie), czy też dojść do sedna, tj. dać opowieść o wojennej traumie przeżywanej w czasie okupacji, a nie po niej. O tragedii osamotnionego bohatera, którego z rozpacz po stracie bliskich wyciągnie kobieta. Czy do końca? Przecież świat jest niepewny niczym tafla lodowa: widzimy kochającą się parę, padają strzały, ekran tonie we krwi. Kto strzelał? Po co? Zostajemy w zawieszaniu. Nie każdą tajemnicę da się rozwikłać, chociaż trzeba próbować, jak próbuje mąż w „Opętaniu”. Próbuje zrozumieć i odnaleźć żonę, z którą zagubił kontakt w gąszczu szpiegowskich intryg. Jak próbuje żona, która odkrywa w sobie szaleństwo, perwersję zła w ramionach potwornej ośmiornicy, gdy daje wyraz swej destrukcyjnej osobowości w przekraczaniu granic siebie, otoczenia, w transgresji. Mąż i żona – oboje szaleni w szalonym świecie, którego nie ma, który jest tylko zapisem ułudy, gdy nie ma się czego uchwycić. Jak zapisem ułudy jest władza, wiodąca Marynę Mniszchównę do zagłady w „Borysie Godunowie”, ekranowej transpozycji opery Modesta Musorgskiego, tak samo dzieje się jak dzika jest muzyka rosyjskiego kompozytora. Opera o micie władzy, o władzy pożądania wszystkiego, władzy w wydaniu rosyjskim, gdzie jednostka jest nad wszystkim, jest emanacją Boga w wydaniu ortodoksyjnym, carem, którego zabrakło, gdy Rosję ogarnął chaos, wielka smuta. Tak przynajmniej zinterpretował operę Żuławski, co rozwścieczyło Mścisława Rostropowicza, dyrygenta, który właśnie w Żuławskim ujrzał idealnego inscenizatora dla opery Musorgskiego. A Żuławski go zawiódł: typowy Polak, więc

film antyrosyjski. Czyżby? Już w dramacie Puszkina, który był materiałem dla libretta, czytamy:

„Plac Czerwony. Lud.

Pierwszy: Nieubłagany! Odpędził od siebie Kapłanów, bojarzynów, patriarchę.

Drugi: Mój Boże, któż więc będzie nami rządził?

O, biada, biada nam!”.

Puszkina antyrosyjski? Żuławski wywiódł z tej opery esencję bytu poprzez władzę w myśl Monteskiusza, że „Wiekuiste doświadczenie uczy, iż wszelki człowiek, który posiada władzę, skłonny jest jej nadużywać”.

Bo robienie filmu to chęć zrozumienia, czym ten film ma być. To odkrywanie i budowanie nowego, a przecież starego świata. Może dążenie do ułudy wiecznej szczęśliwości, która marzy się kochankom z filmu „Moje noce są piękniejsze niż wasze dni”, którzy podążają za swą rajską utopią w pięknym obrazie, gdy w finale obejmują ich potężne, acz czułe fale Zatok Biskajskich.

Poczucie czasu rozjeżdża się. Jest chwilą w kinie. Jest taką nutą błękitną widza, wiedzionego w inne światy przez muzykę Chopina, przez kino Żuławskiego. Żuławskiego, który (być może) szukał w kinie istoty artyzmu, opowiadał o kondycji artysty w różnych ujęciach kamery, różnych ujęciach tematów życia, w którym kicz i sztuka odbijają się niczym w migoczącej kałuży po burzy. W tym właśnie, w tym poszukiwaniu, próbie zrozumienia, czym jest artysta, czym jest świat, pozostał jako postać niezwykła w kinie polskim, w kinie francuskim, w kinie światowym. Pozostał reżyserem, który podobnie jak twórcy nowofalowi twierdził, że reżyser jest jednak autorem, że kino jest jednak sztuką – jak „Kosmos” Gombrowicza, ostatnia realizacja Andrzeja Żuławskiego, oryginalnego filmowca, który zmarł w lutym tego roku.

Jesteśmy tu i teraz. W tej chwili. W kinie...

Grzegorz Sasin



# Teatr ogólnie jest piękny...

Krystyna Kasińska



„Władza”. Łukasz Sawowczyk (Ludwik XIV) i Jarosław Rabenda – Fouquet

**T**eatr ogólnie jest piękny... napisał kiedyś mistrz Wojciech Młynarski. Podobne przesłanie można odnaleźć w liście skierowanym do ludzi teatru z okazji 55. Międzynarodowego Dnia Teatru (autorstwa Anatolija Wasiljewa, który odczytano w dniu premiery „Władzy”):

„[...] teatr może powiedzieć wszystko! O tym, jak bogowie mieszkają w niebiosach i o tym, jak więźniowie tracą siły w jaskiniach, o tym, jak namiętność uwzniośla, i o tym, jak miłość niszczy i o tym, jak dobry człowiek nie jest potrzebny [...]”. A także, że teatr szczególnie teraz jest wyjątkowo potrzebny. Wśród wszystkich sztuk tylko teatr „[...] jest – z ust do ust, z oczu do oczu, z rak do rąk i od ciała ku ciału. Niepotrzebny mu jest pośrednik między człowiekiem a człowiekiem... to świat sam w sobie, natychmiast rozpoznawalny przez każdego... Idźcie do teatru, wsłuchajcie się w słowa i przyjrzyjcie uważnie żywym obrazom – nie lekceważcie go i nie przepuście w swoim zagonionym życiu”. Jedynie teatr po-

lityki, pełen okrucieństw i przewrotności rządzących jest – zdaniem Wasiljewa – zbędny, ale... Dziś polityka i jej meandry zawładnęły duszami wielu ludzi na całym świecie.

## Co może niszczyć...

„Władza” Nicka Deara w reżyserii Andrzeja Bubenienia

Inscenizacja „Operetki” Andrzeja Bubenienia zdobyła Grand Prix podczas ostatniego Festiwalu Gombrowiczowskiego, co pozwalało z ciekawością oczekiwać „Władzy” w jego reżyserii. Zobaczyliśmy sprawnie opowiedzianą opowieść o bezkompromisowej walce o władzę. Jest to także rodzaj ponadczasowego moralitetu: za uleganie takim pragnieniom posiadania władzy płaci się wysoką cenę – zniszczenia siebie, samotności, zakłamania świata i obudzenia demonów. Opowieść prowokuje do stawiania trudnych pytań. Także w teatrze. Bo choć zmieniają się czasy, historia się powtarza, więc część widzów chętnie będzie doszukiwać się we „Władzy” aktualnych aluzji.

Kanwą dramatu Deara są losy Ludwika XIV od chwili objęcia przez niego tronu po śmierci kardynała Mazarina po początki budowania nowoczesnego państwa. Francuski władca jest przecież twórcą monarchii absolutnej. Odsunięcie od władzy arystokracji i powierzenie administracji drobnej szlachcie pozwala na prężny rozwój gospodarki i napełnianie państwowej kasy. Pieniądz służy także rozkwitowi kultury. Jednak wciąż rosnący apetyt na dominację prowadzi do ekspansji terytorialnej, konfliktów z władcami Europy i licznych wojen. Jednym z powodów jest także nietolerancja religijna francuskiego króla. Ponadto wzrost przekonania Ludwika o własnej wielkości i nieomylności owocuje brakiem zaufania do innych oraz bezwzględny niszczeniem wrogów, zarówno realnych, jak i urojonych. W efekcie król, po 72 latach panowania, zostawia kraj wyniszczony, pozbawiony politycznych sprzymierzeńców w Europie. A także mit wspaniałego władcy, na którym warto się wzorować. Jeśli się uważnie rozejrzemy po świecie, bez trudu dostrzeżemy wielu, którzy wciąż mu hołdują.

Na radomskiej scenie oglądamy pierwsze lata rządów młodego króla. Inscenizacja dramatu Deara, przesycona emocjami, jest trudna do opisanie. Istotny jest ton każdego słowa, każdy ruch. Postaci poruszają się dostojnie, ale dziwnie gestykulują, jakby walczyły (w imię konwenansu) z utrzymaniem na wodzy prawdziwych uczuć i myśli. Skojarzyło mi się to z wulkanem: z wierzchu lava, pod nią rozpalony ogień, który wybucha nieoczekiwanie. Akcję podkreśla świetna muzyka Piotra Salabera, miks niepokojących dźwięków. Swoje robi intrygująca scenografia Anity Bojarskiej i pomysłowe, ciemne kostiumy (niby historyczne, ale ponadczasowe). Jasne akcenty pojawiają się tylko w scenach damsko-męskich oraz w chwilach zabaw. Pałac przypomina monumentalną, ponurą klatkę. Ściany oblepiają postaci podsłuchujące (?) odgłosy

z wnętrza budynku. Największe wrażenie robi jednak gra aktorów.

Młody król spędza początkowo czas na rozrywkach i licznych romansach. Stopniowo zaczyna go jednak fascynować władza, więc konsekwentnie dąży do trzymania wszystkiego w swoich żelaznych dłoniach. W kącie idą rady matki, wieloletniej regentki, znacznie tracą więzi z bratem (romans z bratową). Znika bankier Fouquet, który dotąd finansował wszelkie zachcianki dworu, gdy odbudowujący administrację i odpowiedzialny za finanse Colbert odkrywa jego malwersacje. Król nie potrafi przebaczyć oszustwa i budowania pod swoim bokiem innej potęgi, pozbawia więc Fouqueta wszystkiego i skazuje na wygnanie. Dramat kończy wymowna scena – bankier, przypominający balonik, z którego spuszczone powietrze, rozpacza nad swoim losem. Król się bawi...

Przedstawieniu towarzyszyła nasycona uwagą cisza. Nie wiem, co zrobił reżyser, ale udało mu się wydobyć z aktorów niespotykane u nas od lat umiejętności warsztatowe. Wszyscy grają świetnie. Królowa matka (Izabela Brejtkop) powściąga emocje nawet wobec synów, i tylko czasem ton głosu sygnalizuje, że targają nią silne uczucia. Colbert (Łukasz Węgrzynowski) przemyka pod ścianami, ale słucha uważnie i negocjuje twardym, beznamiętnym tonem. Ludwik XIV (Łukasz Sawowczyk) nie budzi sympatii. Tolerują go jedynie zakochane kobiety. Porzucona bratowa (Aleksandra Przybył) potrafi się z trudem pozbierać w ramionach innego mężczyzny i nie rani króla. Nieco naiwną, prostą Henriette (Maria Gudejko) wciąga przepych dworu i nieposkromiona namiętność króla. No i świetny Fouquet (Jarosław Rabenda), rola – podobnie jak rola Ludwika XIV – dająca największe pole do popisu. Zwiedziony młodością i naiwnością władcy nieźle się bawi, finansując jego zachcianki, ale na swoją zgubę lekceważy Colberta i bezymyślnie obraża królową. Sytuacja



wymyka się spod kontroli i jest już za późno na ratunek. Cudem unika śmierci, lecz wygnania i nędzy unieść nie potrafi. Znamiennie za-brzmiała opinia jednego z kolegów: „Gratuluję i zazdroścuję”...

Warto polecić „Władzę” z nadzieją, że kiedy wróci na afisz, nie straci magii, która poruszyła widzów. Dla mnie spektakl niesie ponadczasowe przesłanie. Dlatego kończę swoją recenzję jakże aktualnym cytatem z programu „Władzy”, zagranej 11 lat temu w Teatrze Narodowym. Stefan Meller napisał: „[...] powinniśmy powrócić do domów ze świadomością, że historia jest przynajmniej nauczycielką teatru, ten zaś dopiero – nauczycielem życia”.

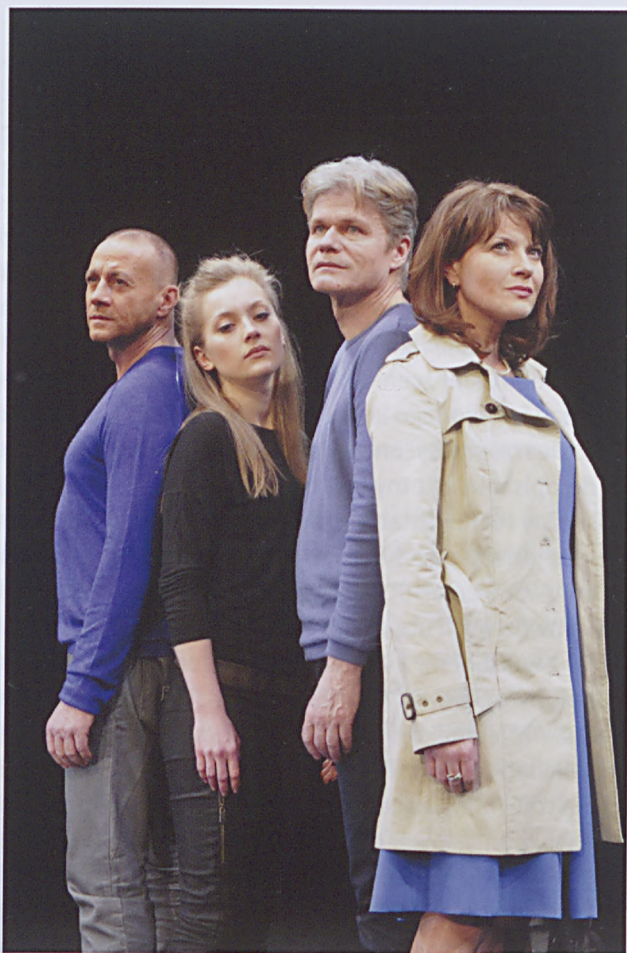
#### Co może ocalić...

„Jabłko” Verna Thiessena w reżyserii Tomasza Dutkiewicza

Zdaniem twórcy spektaklu jabłko to wieloznaczny symbol emocji pozytywnych oraz negatywnych występujący w kulturze i tradycji wielu narodów (w programie przywołano kilkanaście znaczeń). Od symbolu pokusy czy władzy, barwy, która wskazuje siły witalne, przez kulisty kształt kojarzony z doskonałością, po urodę kształtnych piersi kobiet.

Tekst wybrany przez Tomasza Dutkiewicza, reżysera, scenografa i aktora, ma prostą fabułę. Oto małżeństwo z kilkunastoletnim stażem, w którym uczucia dawno się wypaliły. Evelyn (Katarzyna Jamróz), obrotna pośredniczka w handlu nieruchomościami, właśnie finalizuje ważną transakcję, która pozwoli jej na dostatnie życie. Pochłonięta pracą nie zwraca uwagi na – jej zdaniem – fajtlapowatego męża. Traktuje go z góry,

nawet nie chce słuchać. A Andy (Tomasz Dutkiewicz) właśnie uwagi żony potrzebuje. Nagle stracił pracę, którą lubił, i nie może się z tym pogodzić, nie może też znaleźć innego zajęcia. W świecie, którym rządzą młodzi, nie ma dla niego miejsca. Nadmiar wolnego czasu, brak bratniej duszy, z którą mógłby pogadać, sprzyja depresji. Wówczas poznaje Samanthę (Anna Mrozowska). Atrakcyjna studentka nie ukrywa, że żyje chwilą, a lekiem na całe zło świata jest dla niej seks. Nie miłość. Tak zaczyna się ich romans. Kiedy rozkwita, Andy, coraz bardziej angażujący się w związek, przebąkuje o rozwodzie. Pomysł ten nie zyskuje



fot. archiwum teatru

„Jabłko”. Od lewej: Tomasz Dutkiewicz, Anna Mrozowska, Piotr Kondrad, Katarzyna Jamróz

akceptacji kochanki. I wtedy na Evelyn spada choroba nowotworowa, agresywnie atakująca organizm. Świat kobiety wali się, ale... odradza to bliskość między małżonkami. Lgną do siebie, wspominają szczęśliwe chwile, jakby dostali od życia drugą szansę na miłość. On troskliwie opiekuje się żoną, ona czerpie siłę z oparcia, jakie daje męż. Odnalezione uczucie pomaga przeżyć najgorsze chwile. A Samantha? Dziewczyna całe życie uciekająca przed głębokim uczuciem zakochuje się. Andy jednak przewartościował swoje życie, czuje się oczyszczony. Chce iść dalej samotnie, z nowymi planami, które niesie otrzymana właśnie praca. W jego życiu nie ma już miejsca dla Samanthy. Zdaniem reżysera ekstremalny ból wywołany chorobą i śmiercią Evelyn daje oczyszczenie wszystkim bohaterom.

Zaletą scenariusza jest prosty język tej historii, jakich wiele. Plusem są dobra ilustracja muzyczna i oszczędna scenografia: ławka oraz dwa ekrany pokazujące zbliżenia twarzy aktorów oraz sceny erotyczne na przemian ze zdjęciami ilustrującymi postęp choroby... Mniej mi się podobało granie do dwóch widowni (moim zdaniem niczemu nie służy), bo tekst umykał na przemian a to jednej, a to drugiej stronie. Tym bardziej że aktorzy używali oszczędnych gestów, mimiki (tu pomogły ekrany) oraz, co zrozumiałe, stonowanych głosów (poza momentami, kiedy nagle rosły emocje). Widownia nagrodziła aktorów brawami, więc tylko przypomnę premierową obsadę: Katarzyna Jamróz (Evelyn), Anna Mrozowska (Samantha) i Tomasz Dutkiewicz (Andy). Tę rolę gra na zmianę z Piotrem Kondratem, aktorem o niemałych umiejętnościach warsztatowych.

„Jabłko” warto obejrzeć, choć mnie spektakl przygnębił. Z pewnością wzbudzi w widzach wiele różnorodnych refleksji. Przypomnę zatem jeszcze raz, że zdaniem twórcy przedstawienia nieszczęście trudno zaakceptować, ale może stać się dla człowieka katharsis. W końcu w tej opowieści przesłanie jest

oczywiste – zwycięża miłość. W zgiełku codziennego życia o tym także powinien przypominać teatr.

\* \* \*

Miniony sezon był udany, choć premier pokazano tylko sześć. Poza opisanymi – spektakl muzyczny „Doris Day”, „Bóg mordu”, „Niebezpieczne związki”, a dla dzieci bajka o Radomirze. Wszystkie przedstawienia poruszały ważne tematy. Innych inscenizacji z minionych sezonów na afiszu naszej sceny nie brakuje. Spragnieni uśmiechu i lżejszego repertuaru znajdą bez trudu co najmniej kilka przedstawień gwarantujących dobrą zabawę.

Jestem orędowniczką teatru od lat, bo przypomnę tekst piosenki W. Młynarskiego „Alkoholicy z mojej dzielnicy”:

Teatr ogólnie jest piękny  
bo teatr to jest śmiech, kolego  
bo teatr to jest płacz, kolego  
to są te trzy elementy...”

**Krystyna Kasińska**

Teatr Powszechny im. Jana Kochanowskiego w Radomiu.

Nick Dear „Władza” w przekładzie Elżbiety Woźniak. Reżyseria: Andrzej Bubień. Scenografia i kostiumy: Anita Bojarska. Muzyka: Piotr Salaber. Choreografia: Olga Wachata. Projekcje: Maria Porzyc, Jakub Garścia. Premiera na Dużej Scenie im. Z. Wojdana 18.03.2016 r.

Vern Thiessen, „Jabłko” w przekładzie Hanny Szczerkowskiej. Reżyseria i scenografia: Tomasz Dutkiewicz. Projekcje: Karolina Fender-Noińska. Premiera na Scenie Kameralnej im. A. Bieniasza 9.04.2016 r.





## Symfonicznie sFRUMENTowani

Krzysztof Majerczyk

fot. Maciej Murawski

Główni bohaterowie koncertu promocyjnego. Od lewej: Patryk Walczak, Przemysław Zych, Kamil Rylski i Łukasz Rylski

Zespół Frument Project, zdobywca Radomskiej Nagrody Kulturalnej za rok 2014, oryginalnie wypromował swój debiutancki album „Cały na biało”, zapraszając 22 maja na koncert premierowy, któremu towarzyszyła przedsprzedaż krążka. W wydarzeniu wzięli udział artyści uczestniczący w nagraniu płyty oraz Orkiestra Symfoniczna Zespołu Szkół Muzycznych im. Oskara Kolberga pod batutą Przemysława Zycha, a także sympatycy i przyjaciele zespołu.

Rzadko premierze płyty towarzyszy tyle starań i emocji. Przypomnijmy, od nagrania utworów minął już rok. Do nagrań doszło dzięki wsparciu finansowemu wielu życzliwych osób, które odpowiedziały na inicjatywę zespołu zamieszczoną na portalu polakpotrafi.pl. Płyta powstała w szczególnej, ludowej scenerii – zespół wynajął domek w miejscowości Gajki, gdzie na początku 2015 r. przy pomocy Krzysztofa Domańskiego, doświadczonego realizatora dokonano nagrań. Zarejestrowano własne utwory zespołu inspiro-

wane muzyką tradycyjną oraz aranżacje znanych ludowych melodii. W nagraniach wzięli udział znakomici goście, między innymi słowacki trębacz Oskar Török, skrzypce Mateusz Strzelecki oraz wokalistki znane z zespołów Dobroto i Mosaic. Wydawcą płyty jest sam zespół Frument Project, który zajmuje się też jej dystrybucją. Czas, który upłynął od nagrań do premiery krążka, stał się sprzymierzeńcem tego muzycznego przedsięwzięcia, sprawiając, że muzyka przybrała odważne orkiestrowe oblicze.

Nie tak dawno na łamach naszego miesięcznika zamieściliśmy wywiad z Patrykiem Walczakiem – liderem Frumentu, młodym, wykształconym muzykiem i kompozytorem (MP nr 5/152 – 2015). Patryk wraz z kolegami z Frument Project z dużym wyczuciem sięga po idiom ludowy (inspiracje polskim folklorem, m.in. ziemi radomskiej i regionu mazowieckiego), tworząc swoją muzykę. To głównie dzięki niemu radomski koncert miał taki kształt i rozmach. Kompozycje składające się na program

płyty, a także utwory spoza niej, zostały umiejętnie zaaranżowane pod kątem składu zespołu, solistów i orkiestry symfonicznej. Młodzi członkowie orkiestry wnieśli radość i młodzieńczą werwę, a jednocześnie zyskali cenne doświadczenie przez obcowanie z muzycznym dziedzictwem regionu. Warto dodać, że udział w aranżacji utworu „Córuś moja” miał dyrygent orkiestry Przemysław Zych, również z wykształcenia kompozytor. Całość przedsięwzięcia stanowiła duże wyzwanie dla wszystkich muzyków, których było ponad 50. Koncert był przemyślany i spójny, poczynając od tekstów i muzyki do ubioru wykonawców (niemal wszyscy wystąpili boso i byli ubrani w białe). Taka aranżacja dobrze podkreślała lu-

dowość wykonywanej muzyki i spodobała się publiczności. Z pewnością jest to projekt mający spory potencjał. Warto Orkiestrę „sFRUMENTowaną” zaprezentować w kraju, a może nawet za granicą, by w ten sposób zwrócić uwagę na nasz region.

Zarówno debiutancki fonogram Frumentu, jak i koncert promujący udowadniają, że polska muzyka ludowa inspiruje kolejne pokolenia artystów. Oryginalny język wypowiedzi poparty uzdolnieniami i umiejętnościami młodych muzyków, a także twórcze podejście do tradycji złożyły się na niezwykle świeżą reinterpretację.

**Krzysztof Majerczyk**

Rok założenia zespołu: 2008

Miasto: Radom

Kraj: Polska

Rodzaj muzyki: folk stylizowany, ethno-jazz

Skład zespołu:

Patryk Walczak – akordeon,

Kamil Rylski – instrumenty perkusyjne

Łukasz Rylski – gitara basowa

Jacek Długosz – gitara akustyczna, gitara klasyczna

Zespół ma na swym koncie liczne nagrody, m.in.:

- II miejsce na Mikołajkach Folkowych, Lublin 2011,
- II miejsce na Międzynarodowym Festiwalu Akordeonowym, Przemyśl 2011,
- I miejsce na Międzynarodowym Festiwalu Akordeonowym, Sanok 2014,
- Radomska Nagroda Kulturalna za 2014 rok wręczona podczas Dni Radomia w 2015 r.

Frument „Cały na biało”

Wydawnictwo i dystrybucja – Frument

Rok wydania 2016

Muzycy towarzyszący w nagraniu płyty:

Jolanta Kossakowska – śpiew

Daria Peleńska – śpiew

Ewa Żołądek – śpiew

Edyta Glińska – śpiew

Oskar Török – trąbka

Mateusz Strzelecki – skrzypce

Olek Krupa – harmonia

Krzysztof Guzewicz – instrumenty perkusyjne

Stanisław Głaz – głos

Krzysztof Domański – realizacja nagrań

Studio AS ONE Mariusz Dziurawiec – mix, mastering

Wydawnictwo współfinansowane przez miasto Radom



<http://frumentproject.com/o-zespole/>

<http://pl-pl.facebook.com/Frument.Project.Radom>





## Radom złożony ze wspomnień

Barbara Łopyta

Kilka zdjęć starego Radomia zebranych na dysku twardym komputera. Tak pięknych, że szkoda ich nie pokazać. Trzeba je udostępnić. Z taką myślą została powołana do istnienia strona na portalu społecznościowym Radom. Retrospekcja. Działa już drugi rok i zdobywa nowych czytelników, którzy każdego dnia dzielą się swoimi wspomnieniami.

Wspomnienia mają to do siebie, że czasem dotyczą wielkich, historycznych wydarzeń, które rozgrywały się w Radomiu, ale częściej związane są z codziennością. Próżno szukać w historycznych opracowaniach wspomnień o najlepszych placach zabaw, zapachu mielonej kawy w Delikatesach czy potańcówkach w Romantycznej. Radom. Retrospekcja jak sądzę wypełnia tę lukę, wkraczając do świata codzienności, która istnieje już tylko w pamięci czytelników.

Czytelnikami są radomianie. Z różnych zakątków świata, bo radomianinem, okazuje się, można być nie tylko z urodzenia, ale także z wybo-

ru lub sympatii (zwykle do radomianina lub radomianki). Ja jestem z Kielc. I niniejszym raz na zawsze odczarowuję wieloletnią animozję. Można być radomianką, choć na ziemi świętokrzyskiej spędziło się dzieciństwo.

Choć dzieciństwo i młodość spędzone w Radomiu są, jak zawsze i wszędzie, najwdzięczniejszym tematem wspomnień. Może warunki nie były najbardziej komfortowe, ale młodość ma swoje prawa. Wtedy słońce mocniej świeciło i trawa była bardziej zielona. Takie prawa wspomnień. Nawet PRL-owska kolejka po święteczne mandarynki wydaje się, z perspektywy czasu, wyłącznie atrakcją. Przecież można było porozmawiać, nawet nawiązać przyjaźnię. I ta radość z zakupów. Dziś jej nie odnajdziemy.

Odnajdujemy Radom, jaki zapamiętaliśmy. Także ludzi, z którymi kontakt się urwał, i miejsca, po których pozostały tylko wyblakłe fotografie. Kto pamięta wagę osobową stojącą w parku Kościuszki, kwiatowe stragany typu szczęka na placu Jagiellońskim czy sklepy Pewexu? Chyba wszyscy. A jeśli nie pamiętamy osobiście, zawsze można zapytać rodziców, dziadków...

Dziadkowie i ich wspomnienia pozwalają sięgnąć czytelnikom nieco dalej w historię naszego miasta. Dzięki temu, co od



fot. internet

nich usłyszymy, wiemy nieco więcej o codzienności początku XX w. Wspominamy Rajszulę o przebogatym asortymencie, jak na wielki targ przystało, powstawanie Fabryki Broni wraz z nowym osiedlem Planty, radomskie getta... Historia z perspektywy zwykłych ludzi.

Ludzkie przygody opisują codzienne gazety. Wydawanych w Radomiu, w różnych okresach, czasopism była cała masa. Jednym z ciekawszych była ukazująca się w latach międzywojennych „Ziemia Radomska”. To niezwykła kronika codziennego życia radomian. Powstające zakłady, decyzje miejskich władz, ale także zawiedzione miłości, całkiem pospolite występki i wielkie zbrodnie. Wszyscy bohaterowie wymienieni z imienia i nazwiska oraz, by uniknąć pomyłki, także z podaniem adresu.

Adres i dane osobowe pozwalają czytelnikom odnaleźć wspomnienia. Faktycznie przy tej ulicy i pod tym numerem zamieszkiwała taka rodzina. Tamten był skoligacony z moją rodziną. Ta historia była opowiadana u nas od pokoleń, ale myśleliśmy, że to nieprawda. Do czarnych charakterów nikt się nie przyznaje. Pewnie byli w Radomiu tylko przez chwilę. Nie są stąd.

Stąd pochodzą ludzie dumni, z osiągnięciami. Zapewne jest w takim stwierdzeniu nuta przesady, do której jednak mamy prawo. Zwyczajnie – nie wszystkich historie znamy. Ich gwiazdy szczęścia, talentu czy wieloletniej mozolnej pracy rozblęły kiedyś w przeszłości bardzo jasno i... zgasły. Niewielu pamięta ich dokonania, prawdopodobnie nikt nie jest w stanie wymienić ich wszystkich. A istnieli.

Istniały wielkie zakłady pracy. Ileż z nimi związanych jest wspomnień. Rowery Łuczniaka, które podbijały w dwudziestoleciu międzywojennym drogi i bezdrożna krajowe i zagraniczne. Garbarnie rozsiane wzdłuż Mlecznej i jej dopływów. Maszyny do szycia, dzięki którym niejedna elegantka mogła ożywić swą garderobą szarą rzeczywistość. Wreszcie całkiem współczesne sportowe buty Sofix, delikatnie plagiatujące znane sportowe marki.

Marka Radomia powstała, zanim sprytni PR-owcy wymyślili siłę w precyzji. Był nią królewiczów. Kazimierz, sejmy, ważne urzędy, które pozwalały o Radomiu przez setki lat mówić: stolica. Guberni, województwa... Ważne, że Radom jest w centrum. Najważniejszy. Ze stolicą kraju połączony koleją. Nie byle jaką. Tuż przed wybuchem II wojny podróż Luxtorpedą trwał godzinę i piętnaście minut. Dziś nieosiągalne, ale został powód do dumy, choć niewielu było wówczas stać na taką podróż.

Duma ta jest wyczuwalna w każdym wspomnieniu. Radomianie naprawdę lubią swoje miasto. Dostrzegają wady i błędne decyzje, ale złego słowa o swojej małej ojczyźnie nie napiszą. Uff, przynajmniej jedna strona wolna od wszechobecnego hejtu. Za to kształcąca. Przeczytałam wszystkie wspomnienia i mogę dziś być przewodnikiem amatorem po Radomiu. Trochę specyficznym, bo pogubionym w datach historycznych, ale za to wiedzącym, że w trzeciej ławce u fary zawsze siadała pani Waleria z Nowego Świata.

Nowy Świat, Monopolowa, Mleczna... niektórzy radomianie nigdy nie przestawili się na nazewnictwo ulic zgodne z bieżącym ustrojem. Miasto rosło i się zmieniało. Bardziej na lepsze, mniej na gorsze. Powstawały wspomnienia związane z nowymi miejscami. Ach, nowe mieszkanie na modelowym osiedlu Ustronie. Radość z najnowocześniejszego szpitala w regionie przy nowo powstałej ulicy Tochtermanna. Mogę z dumą powiedzieć: stworzyłam miejsce do wymiany takich codziennych wspomnień. Trochę przypadkiem i niby od niechcenia. I mimo że jest to nieco czasochłonne zajęcie, stwierdzam: było warto!

Barbara Łopyta



## O przedwojennych posadzkach, nieistniejącej fabryce i dwóch spacerach po Radomiu, w tym jednym z Jackiem Dehnelem

Marta Wiktoria Trojanowska

Klatka schodowa kamienicy przy ul. Kilińskiego 11

Wiem, że jeździ po całej Polsce przy okazji spotkań autorskich i literackich imprez. Wiem, że zwiedza największe stolice Europy. Wiem to wszystko, ale kiedy przyjeżdża na spotkanie do radomskiej biblioteki i ma czas na spacer po naszym mieście, tylko chwilę waham się, gdzie zaprowadzić go najpierw. A Wy, drodzy Czytelnicy, co pokazalibyście w Radomiu Jackowi Dehnelowi, wiedząc, że macie tylko półtorej godziny?

\*

Idziemy najpierw tam, gdzie wszystko się... skończyło. Tak, gdzie wszystko się skończyło... Jednak przed nami szli tą drogą wszyscy, którzy pozostali na starych fotografiach w rodzinnych albumach i archiwach, zanim dawny zakład fotograficzny Józefa Grodzickiego został upaństwowiony. I choć wiem doskonale, że szklana ściana altany już dawno stłu-

czona, a przedwojenna posadzka – oczywisty element ocalałych zdjęć – skaleczona okrutnie kartonowo-gipsową ścianą, która przecina ją niemal symetrycznie na pół, wchodzimy... Bo wiem też, że Jacka Dehnela fascynują stare posadzki i fascynuje stara fotografia.

– Zazdroszczę wam, że je macie! – słyszę po wyjściu z bramy.

– To wy nie macie w Warszawie starych posadzek? – pytam bezmyślnie, zanim dociera do mnie, że przecież nie mają... Że przecież przepadły tak jak kamienice...

– Mamy, zachowało się dużo, ale to nikły procent tego, co było przed wojną...

A u nas przetrwały... Przetrwały...

\*

Lokal po dawnej restauracji Wierzbickiego. Ta sama kamienica przy Żeromskiego 51. Dziś mieści się tu piekarnia Pod Telegrafem.



Klatka schodowa kamienicy przy ul. Żeromskiego 33

Po słynnej restauracji zostały trzy stare fotografie, napis Skład Win na elewacji, platerowane sztucce z literą „W” i kilka rodzinnych pamiątek. I stara posadzka. Roześmiane rodziny, które wchodzi dziś do piekarni po niedzielne ciastko, nie myślą już raczej o tym, bo i po co miałyby to robić, że chodził po niej Sienkiewicz, że chodził Reymont, Kossak... Wytarta, popękana, pełna odprysków, skaleczeń... Przedziwny wehikuł czasu; gdyby naiwna wyobraźnia na chwilę zerwała się z więzów, usłyszałabym stukanie przedwojennych obcasów i odgłos tych platerowanych sztucców z literą „W”, które spadały na posadzkę roztargnionym gościom... Ostrze zdziwionego wzroku sprzedawczyń pieczywa nie pozwala dłużej tak stać beczynnym, dlatego szybko opuszczam to miejsce i rozpoczynam swój samotny spacer. Wchodzę do starych kamienic – po kolei, od bramy do bramy. W więk-

szości domofony, więc dziwnie się czuję, prosząc o otwarcie drzwi. No bo co mam powiedzieć mieszkańcom? Że szukam innych wehikułów czasu? Że chcę popatrzeć na starą posadzkę? Że chcę sprawdzić, czy ocalała z remontu sprzed lat? Nie wszędzie się udaje. Nie wszędzie mogę wbiec szybko po skrzypiących schodach i z duszą na ramieniu przemierzyć dwa, trzy piętra. Trzymając się bajecznie pięknych, zniszczonych balustrad. Niektóre klatki przedwojennych kamienic zadbane i czyste, z kwiatami na parapetach witrażowych okien. Ale zdarzają się ciemne, zaśmiecone, okropne, przesiąknięte fetorem uryny i piwa. Tak bardzo, że nawet gdy znajdują już starą posadzkę, wygląda jakby... ktoś się okropnie pomylił. Żywe barwy wzorów wzdłuż odrapanych ścian i odchodzącego tynku. Chichot czasu i losu... Ukryte przed światem piękno, którego nikt nawet w tym miejscu nie szuka...



\*

Przewyciężam strach i wchodzę do kolejnych kamienic. Zdziwiona Cyganka, która obserwuje, ale nie chce wróżyć... kilka krzywych spojrzeń mieszkańców... wzruszenie ramion, gdy pytam o stare posadzki na najwyższych piętrach. Odnajdywanie ich jest trudniejsze, niż mogło mi się wydawać. W jednej z klatek schodowych widzę smutne resztki majolikowej posadzki – wdiera się na nią bezlitośnie beton. W innych okaleczone wzory, pozostawione we fragmentach, w sąsiedztwie współczesnych płytek o jednolitych kolorach. W następnych zachowane w całości, jakby przedwojenna ręka ułożyła je wczoraj, a czas zapomniiał dotknąć. I już sama nie wiem, która posadzka gdzie była, pod którym numerem, w której oficynie. Nieotworzone drzwi, zakurzone poręcze, spróchniałe schody zlewają się w jedno.

\*

Jacek Dehnel zdejmuję ciemne okulary, kiedy wchodzimy do klasztoru oo. Bernardynów. W pustej kaplicy Matki Boskiej Anielskiej jeszcze jedna posadzka. Stuka w nią laską, pokazując mi coś i tłumacząc, ale ja myślę głównie o tym, czy i kiedy stanie się z nią to samo, co z posadzką w radomskiej katedrze. I wolę o tym... milczeć. Tak samo jak o Fabryce Wyrobów Szamotowych i Kamionkowych „Marywil”, która mieściła się przecież w Radomiu. Dziś w kompleksie budynków po starym Marywilu znajduje się między innymi – nomen omen – salon materiałów budowlanych. I znowu chichot losu. Bo żadne z nas nie odważyło się jakoś na refleksję, że to, po czym teraz przemierzamy codzienność, jest po prostu... brzydkie.

**Marta Wiktoria Trojanowska**

PS

Moje spotkanie z Jackiem Dehnelem odbyło się 6 kwietnia 2016 r. Pisarz był wówczas w Radomiu po raz drugi.

Na portalu społecznościowym Facebook aktywnie działa otwarta grupa pod nazwą: „Niechciane piękno. XIX-wieczne posadzki i okładziny ceramiczne”. Członkowie grupy zamieszczają na niej fotografie odnalezionych w różnych miastach Polski posadzek lub ich fragmentów.

W czasie kilkutygodniowych poszukiwań w radomskich kamienicach zdołałam odnaleźć i sfotografować kilkadziesiąt posadzek lub ich fragmentów, reprezentujących 28 różnych wzorów lub ich połączeń w bardzo różnym stanie zachowania. Nie jestem nawet w stanie określić, jaki to może być procent wszystkiego, co można odnaleźć w radomskich kamienicach skupionych wokół ulic: Traugutta, Żeromskiego, Piłsudskiego, Focha, Malczewskiego, Moniuszki i Sienkiewicza. Należy przecież wziąć pod uwagę zaplecza sklepów, firm i tych wszystkich miejsc, do których na co dzień nie mamy dostępu. No i przede wszystkim drzwi, które pozostały przede mną zamknięte...

Nie mam informacji o tym, aby ktoś kiedykolwiek podjął się rzetelnej inwentaryzacji i udokumentowania posadzek na klatkach schodowych radomskich kamienic. Rośnie we mnie jednak niepokój, że zanim to się stanie, wiele z nich zostanie zalanych betonem...

M.W.T.

## KRONIKA czerwiec 2016

### Czarnolas

**25.06.2016.** Czarnoleskie Spotkania Sobótkowe odbywały się już po raz XXV. Jak zwykle ogłoszono nazwiska laureatów ogólnopolskiego konkursu poetyckiego „O dzban czarnoleskiego miodu”, wręczono nagrody Jana Kochanowskiego, odbył się korowód do stawu zakończony pieśniami ludowymi i puszczaniem wianków. Koncertował zespół No To Co.

### Kozienice

**3.06.2016.** Piątą edycję kozienickiego Muzycznego Lata rozpoczął koncert jazzowy. Wybitny trębacz Gary Guthman wystąpił z własnym zespołem Gary Guthman Quartet. Muzykom towarzyszyła solistka Sasha Strunin. Wszystkie koncerty w ramach imprezy odbywały się w zabytkowym zespole pałacowo-parkowym.

**18.06.2016.** Nad Jeziorem Kozienickim odbyły się obchody Nocy Świętojańskiej. Koncertował zespół JAR, grający muzykę dawną i słowiańską, odbył się spektakl teatralny dla dzieci, z pokazem tańca wystąpiła łódzka grupa taneczna OFF Harnam. Niezbędnym elementem imprezy było puszczanie wianków.

### Orońsko

**11.06.2016.** W Centrum Rzeźby Polskiej otwarta została wystawa „Tony Cragg – Rzeźba”. Kuratorem wystawy jest Eulalia Domaniowska, współpracowali Bogusław Dobrowolski i Jarosław Pajek.

### Radom

**1–5.06.2016.** OKiS „Resursa Obywatelska” po raz ósmy zorganizował Radomski Festiwal Filozofii „Okna”. W programie znalazła się prezentacja wydanej przez Radomskie Towarzystwo Naukowe bajki Leszka Kołakowskiego *Ośmiornica* (dokończona przez Paulinę Krajewską), wystawa malarstwa, rzeźby, grafiki i rysunku ze zbiorów Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu zatytułowana „Zbrodnia i kara. Czy możliwa jest sprawiedliwość?” oraz wystawa projektów ławeczki-pomnika Leszka Kołakowskiego w Radomiu, debata o sprawiedliwości z udziałem Agnieszki Kołakowskiej, prof. Tomasza Wiśniewskiego, dr. Andrzeja Ziółkowskiego oraz laureatów XXVIII Olimpiady Filozoficznej i wręczenie Nagrody im. Leszka Kołakowskiego. Zorganizowano też spotkania autorskie z prof. Cezarym Mordką i Zbigniewem Mentzlem. Nowe spektakle zaprezentowały Teatr Resursa i Teatr Poszukiwań oraz uczniowie z II LO w Radomiu. Odbyła się gra miejska „Radomskimi śladami Leszka Kołakowskiego”. Imprezę zakończył najnowszy projekt artystyczny Włodka Pawlika i Adama Zagajewskiego „Mów spokojniej” w wykonaniu Włodka Pawlika – fortepian i Marka Bałaty – śpiew.

**4.06.2016.** „Łaźnia” Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria oraz Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie to organizatorzy wystawy studentów Pracowni Malarstwa prof. Adama Brinckena z ASP w Krakowie otwartej przy ul. Traugutta.



**4.06.2016.** Archiwum Państwowe zorganizowało dzień otwarty. Na zwiedzających czekało wiele atrakcji. Można było obejrzeć przygotowane przez pracowników instytucji wystawy dotyczące historii miasta, wziąć udział w konkursie wiedzy o Radomiu i okolicach, pomóc w ułożeniu z puzzli mapy Radomia z 1824 r.

**4.06.2016.** Radomska Orkiestra Kameralna zakończyła sezon koncertem zatytułowanym „Cudowne dzieci”. Do udziału w nim muzycy zaprosili uczniów szkół muzycznych z Radomia i innych miast Polski, którzy wystąpili jako soliści. Dyrygował Maciej Żółtowski.

**4.06.2016.** Rozpoczęły się oficjalne obchody 40. rocznicy wydarzeń Radomskiego Czerwca. W Mazowieckim Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia” odbył się pokaz filmu „Gry uliczne” oraz spotkanie z aktorami: Grażyną Wolszczak, Robertem Gonerą, Redbodem Klijnstrą.

**6.06.2016.** Jarosław Rabenda, znany i uznany aktor radomskiej sceny, obchodził jubileusz 25-lecia pracy artystycznej. Impreza odbyła się w „Łażni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii. Do wszystkich gratulacji i życzeń, które aktor odebrał podczas benefisu, serdeczności dołączyła redakcja „Miesięcznika...”.

**10.06.2016.** W Muzeum im. Jacka Malczewskiego otwarta została wystawa „Radom w PRL-u”. Współorganizatorem ekspozycji, wpisującej się w obchody 40. rocznicy wydarzeń Radomskiego Czerwca, było Archiwum Państwowe.

**13–14.06.2016.** Trwała międzynarodowa konferencja naukowa „Miasta buntu w imperium sowieckim”, zorganizowana w ramach obchodów 40. rocznicy wydarzeń czerwcowych przez IPN Oddział w Lublinie i prezydenta Ra-

domia. Oprócz polskich historyków w obradach uczestniczyli goście z Czech, Węgier, Niemiec, Gruzji. Obrady odbywały się w Zespole Szkół Muzycznych.

**19.06.2016.** Na wielkiej scenie ustawionej na deptaku odbył się koncert „Radomski Czerwiec Wolności” z udziałem takich wykonawców, jak: Krystyna Prońko, Stanisław Soyka, Dżem, Kult, Oddział Zamknięty, Kękę. Koncert, transmitowany przez Program I TVP, przeplatany był prezentacjami przypominającymi wydarzenia, które rozegrały się na ulicach Radomia 25 czerwca 1976 r.

**28.06.2016.** W „Łażni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii przy ul. Traugutta otwarto wystawę „prof. Kolo wystawia swoje rysunki i postery promowanych dyplomów”.

**30.06.2016.** W „Łażni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii odbył się wieczór artystyczny, podczas którego promowano wydawnictwo podsumowujące wystawę „Dialog w sztuce” z cyklu Pracownie – Konfrontacje. Zebrani mogli też wysłuchać recitalu Marka Tercza i Ilony Sojdy.

### Zwoleń

**17–19.06.2016.** Zwoleń po raz kolejny świętował „Imieniny Pana Jana”. Przygotowano wystawę Stowarzyszenia Twórców Ziemi Zwoleńskiej, odbył się spektakl teatralny „Korzenie pamięci”. Imprezę zakończył niedzielny koncert Patrycji Markowskiej. Dniem sportowo-rekreacyjnym była sobota; odbył się rajd rowerowy, biegi i zawody sportowe na stadionie.



Z przyjemnością informujemy Czytelników MP, że nasz redakcyjny kolega, od kilkunastu lat członek Kolegium Redakcyjnego naszego pisma – Mieczysław Szewczuk – został laureatem tegorocznej Radomskiej Nagrody Kulturalnej za rok 2015. Prezydent Radomia nagrodił go za przygotowanie wystawy „Życie sztuką. Kolecja sztuki współczesnej Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu” oraz opracowanie albumu pod takim samym tytułem. Mieczysławowi serdecznie gratulujemy i życzymy kolejnych, co najmniej tak samo udanych realizacji w dziedzinie wystawiennictwa oraz publikacji opisujących i propagujących sztukę współczesną, jednocześnie dokumentujących kolekcje tej sztuki w radomskich instytucjach kultury.

Zespół redakcyjny MP



## Jerzy Kutkowski – Subiektywny obiektyw



Alpiniści, Radom, 30 kwietnia 2016 r.